



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor Maryan Gawalewicz.

REDAKCYJA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebiera i Spół. kwart. 5 marek.

Zakłady wychowawcze dla dziewcząt.



I.

Jest w Warszawie zakład naukowy żeński, który zawsze interesował mnie szczególnie. Dlaczego? Zakładów naukowych dobrych jest u nas tyle, wszystkie rozwijają się prawidłowo, wszystkie kształcą młode pokolenie uczciwie, wytrwale, dlaczegoż ten jeden działał na mnie odmiennie i zwiedzenie go, poznanie bliżej, oddawna było myślą moją? Zainteresowanie się to i pewnego rodzaju ciekawość tłumaczę sobie tem, że założycielką i kierowniczką owej szkoły jest osoba niepospolitego charakteru i kolorytu ducha.

Ach, nie gorszcie się, nie piszę panegiriku, ani reklamy—osoby tej nie znam. Znam jej myśli niektóre, artykuły, broszury—to mi wystarcza.

W naszym społeczeństwie, posiadającym tak wielką ilość osobników chorych na moralną anemię, lęklowych w wypowiedaniu, a leniwych w wprowadzeniu w czyn zasad stałych, czystych i szlachetnych, ponieważ to bezwarunkowo wymaga wytrwałej pracy, codziennego a nudnego znoju, narażania się często na mniemaną śmieszność; na t. zw. „ludzkie języki,” na niezadowolenie partyi i partyjek, kólek i kółeczek. W naszym więc społeczeństwie wypowiedzieć głośno niejedną prawdę, podnieść sztandar nudnych, morali-

zatorskich zasad, dokonać tego, co się obmyśliło, zamiar swój wytrwale w czyn wprowadzić, poświęcając tej pracy czas swój, swoją istotę; majątek, wygodę i podług pospolitego zdania, do niczego nieobowiązujące, światowe stanowisko — to wiele i niezwyčajnie. Domyślcie się już zapewne, czytelniczki, że mówię o zakładzie naukowym hr. Cecylii Plate-równy.

Chodźmy zatem zwiedzić tę szkołę. Wybieramy godzinę 5-tą po południu, zdaje się, że ta będzie najwłaściwszą. Lekcyje ukończone, nauczyciele się rozeszli, uczennice przychodnie wróciły do domu, panie nauczycielki mają więcej czasu, aby oprowadzić i objaśnić zwiedzających; witają nas chętnie, niemal serdecznie. Z uprzejmością, z miłym na ustach uśmiechem oprowadzają nas wszędzie, objaśniają najdrobniejsze, a bardzo interesujące szczegóły urządzeń domowych, gospodarczych, higienicznych i t. p.

Zakład wznosi się w jednej z najzdrowszych i najspokojniejszych dzielnic Warszawy, przy ulicy Pięknej.

Gmach obszerny, dwupiętrowy, wsunięty w głęboki i rozległy dziedziniec — ogród prawie, wysokim murem od gwaru i odgłosów ulicy oddzielony. Dużo tu drzew, roślinności, zieleni; słońca i cienia naprzemian, zaciszna altana i obszerny, chłodny wirydarz; dziewczęta używają tu ruchu i swobody podczas pauzy południowej.

Wchodzimy do domu: kurytarze, schody, sienie wysokie, jasne; na pierwszym piętrze

wspaniała sala rekreacyjna, w której rano, po lekcyach i wieczorem uczennice zbierają się „na pacierz.”

Otwiera się wtedy zamknięty w ścianie ołtarz, pełen artystycznego smaku tryptyk (sala ta służy głównie do zabaw i rozrywek uczennic) i nad całą tą gromadką młodych główek Pan Jezus (jak to mówią po staropolsku) wyciąga błogosławiące dłonie z krzyża, jak gdyby przemawiając: „Dopuszczcie dzieciom iść do mnie” (Św. Mat., X, 15), zanim kiedyś do tych przyszłych kobiet-pracowniczek, obywaterek, żon, matek zawoła: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę” (Św. Mat., XI, 28).

W każdej klasie, sypialni, pracowni zawieszony na ścianie krzyż lub obraz święty; z Bogiem się tu wszystko zaczyna i z Bogiem kończy. Chrześcijański — katolicki to zakład i po chrześcijańsku uczennice swe wychowuje.

Klasy obszerne, ale obszerniejsze jeszcze sypialnie. W każdej z nich biała, płócienna ścianką odgradzony pokój nauczycielki-dozorczyń. Wysokie sufity, wielkie, bezustannie prawie — o ile pora roku na to pozwala — otwarte okna, pozwalają na dostateczny przyływ powietrza, tem bardziej, że dom otoczony jest dokoła obszernym dziedzińcem, od frontu zamienionym w ogród.

Dziewczęta obowiązane są mieć jak najmniej niepotrzebnych toaletowych gracików; ceratowa praktyczna torebka w nogach żela-

znego łóżka zawieszona, wystarcza każdej uczennicy, mieszcząc w sobie grzebienie, szczotki, szczoteczki i t. p. W sali przeznaczonej na umywalnię, spostrzegamy wygodne przegródki, rodzaj budek czy szafek, zakrywające dziewczątka, aby poranne mycie mogło odbywać się dokładnie, nie tak powierzchownie — rączki i buzie, jak to, niestety, zbyt często praktykuje się w naszym chronicznie niedomytem społeczeństwie. Kąpiele zastosowane są tu codzien. Pewna liczba uczennic rano, prosto z łóżka, udaje się do ciepłej kąpieli, tak, że przeciętnie, co dni dziesięć, na każdą uczennicę kąpiel wypada.

Umywalnia t. zw. „dzienna,“ dla wszystkich dziewczątek wspólna, znajduje się zupełnie oddzielnie, bliżej klas, przez co przychodnie uczennice mogą też z niej korzystać i ręce w czystości utrzymywać.

Na parterze wchodzimy do obszernej i wesołej sali jadalnej; przygotowują tu właśnie wszystko na czystym obrusie do wieczornego posiłku, który o godzinie 7^{1/2} zbierze gwarną gromadkę dziewcząt, uczących się w tej chwili w klasach, w spokoju i umiarkowanej ciszy, pod opieką i przy pomocy nieodstępującej każdego oddziału nauczycielki.

Kuchnia, w której wkrótce po obiedzie panuje czystość wzorowa, wyszukana, porządek i spokój, oraz dalsze gospodarskie pomieszczenia, oddzielone są zupełnie od zamieszkanego przez uczennice części zakładu, przez trzy milutkie i obszerne pokoje, każdy zupełnie oddzielny i nie łączący się z drugim, przeznaczony na infirmerię. W chwili naszych odwiedzin pokoje te były prawie niezajęte, gdyż jedno tylko niedomagające dziewczątko podniosło z poduszek ciemną główkę i zaciekawionymi oczyma na nas spojrzało.

W razie choroby zakaźnej, chore dziecko umieszczone bywa w pokoju jeszcze bardziej oddalonym od uczennic, a znajdującym się za mieszkaniem samej przełożonej i jej głównej współpracownicy, której łaskawej uprzejmości zawdzięczamy właśnie możliwość tak szczególnego zwiedzenia całego zakładu.

Biblioteka, przyrzady pomocnicze do nauk przyrodniczych i t. p., znajdują wygodne pomieszczenie w odpowiednich salkach, widnych i przestronnych; tam uczennice w niedziele i święta przychodzą w godzinach oznaczonych na czytanie i pisanie listów do rodziców i rodziny.

Czyż potrzeba dodawać, że przechadzki, ruch, gimnastyka jak najszerzej są uwzględnione, że rozrywki odpowiednie podczas świąt i dni wolnych, skracają i umilają chwile wypoczynku tym, których dom rodzinny zadaleko się znajduje, by odlecieć tam na skrzydłach młodości i tęsknoty za swoimi.

W środku gmachu, wsunięta w głąb domu, a wysokością szczytu jego sięgająca, znajduje się kaplica — cichy, ogrzewany, wytworny gustem i czystością przybytek Panu poświęcony. Ztąd Chrystus całemu domowi błogosławi i w opiece Swej tuli, tu uczennice w niedziele i święta słuchają Mszy świętej, a po kwartalnej spowiedzi przystępują do Komunii.

Niema więc żadnego przeciążenia praktykami religijnymi, o co nieraz pomawiają róż-

ne zakłady głowy płytkie, niedowarzone, jednostronne a zaciętrzewione.

Zakład głośno wypowiada zasady swoje religijne, etyczne i społeczne. Dziewczęta kształcą się tu nie tylko dlatego, aby miały patenty i świadectwa, ale przede wszystkim, aby umiały być uczciwymi i pracowitymi ludźmi. Uczciwość i praca tak nierozdzielnie stoją przy sobie, jak dwoje oczu w głowie, że tak prostego pozwolę sobie użyć porównania.

Uczciwych przeciętnie ludzi społeczeństwo nasze, to biedne, chore, anemiczne społeczeństwo, posiada dosyć, pracowitych — w prawdziwym tego słowa znaczeniu — mało.

Pracujemy, bo musimy, bo żyć trzeba, ale jakże mało umiemy rozumnie pracować. Jak mało rozumiemy zasadę pracy!

A praca z zasady, podług mądrego regulaminu, praktycznego a umiejętnie pomyślanego przepisu, bywa niekiedy ciężka, męcząca, zmuśna, ale jakże owocna i dzielna! Jak przy zachowaniu tych warunków na wszystko starczy czasu, jak siły umysłowe sprężystymi się stają, jak duch się hartuje, myśl nabiera logiki i lotności, ciało odporności, choć znój kroplisty nieraz na czoło wystąpi — lenistwo sarknie... To chwila tylko, tam, gdzie charakter od dzieciństwa wyrabiany, gdzie skłonności naginane i zwracane, jak rośliny ku słońcu, gdzie ambicya właściwie pokierowana wyszlifuje się zwolna w czysty brylant subtelnej ludzkiej godności, tam chwile zmęczenia przemijają, obowiązek życie umiła, praca staje się potrzebą i wdziękiem szarych dni...

Ten duch, ta myśl, ten kierunek wieje ze zwiedzanego przez nas zakładu, przenika i wypełnia jego działalność.

Oddzielnie zupełnie od pensyi znajduje się tu t. zw. szkoła robót, gdzie prowadzą się kursy: hafciarstwa, krawiecczyni i zwykłych robót kobiecych (szycia, znaczenia, cerowania i t. d.). Tej gałęzi pracy poświęcają się dziewczęta starsze (lat 16 najmniej), mające zamiar w jednej z gałęzi wyżej wzmiankowanych robót wydoskonalić się i wyspecjalizować, aby następnie z umiejętności swojej mieć zarobek, utrzymanie i odpowiednie zdolnościom swoim i celom stanowisko. Nadmieniamy, że roboty kobiece podczas kursu nauk na pensyi, są obowiązujące dla wszystkich uczennic.

Przeszedłszy i zwiedziwszy dokładnie cały zakład, niezmiernie miłe i pouczające wynosi się wrażenie. Chciałoby się tu wrócić, spojrzeć znowu na tę pracę zbożną, wytrwałą nie tylko nad wykształceniem umysłowym młodego pokolenia, ale także nad wyrobieniem charakteru, wpojeniem zasad stałych, pewnych, niezawodnych; zasad odnośnych do małych i dużych rzeczy, w codziennych i pospolitych, podniosłych i świętych czynnościach i chwilach tego życia.

Czas odejść, nie nadużywając dłużej cierpliwości tych pań, z tak miłą uprzejmością wprowadzających nas wszędzie, wtajemniczających nas we wszystkie szczegóły codziennego życia, bytu i pracy uczennic, szczegóły tak interesujące wszystkich, którym tak ważna sprawa, jaką jest prawidłowe wychowanie kobiet, leży na sercu.

Bożymir.

ESTEWA

KALEJDOSKOP.



— Droga, kochana, żebyś wiedziała z jaką nowiną przychodzę! — wołała już od drzwi piękna pani Lili, wchodząc do buduaru Marlickiej, która w wymiętym szlafroku i z ledwo przyczesanymi włosami siedziała na bujającym fotelu, zatopiona w czytaniu jednego z najnowszych utworów Przybyszewskiego.

— No, co takiego? — spytała, rzucając książkę i całując kilkakrotnie przyjaciółkę.

— Wyobraź sobie tylko, Marynia, ta chodząca cnota prowadzi romans z Karolem Kettińskim.

— Ech! co mówisz? Nie może być!

— Jakto „Nie może być?“ Cóż to ja plotki rozsiewam? — oburzyła się Lili, marszcząc brwi.

— Ależ nie gniewaj się, zdziwiłam się, bo to takie nieprawdopodobne. Marynia ma romans?... No, no!... Rozbieraj się i opowiadaj, jakim sposobem się dowiedziałas?...

— Nie, nie zdejmę okrycia, bo się spieszę, mam jeszcze kilka wizyt do złożenia. A wykryli ten skandal przypadkowo mąż i brat mój. Przedwczoraj byliśmy u Koci wieczorem, na herbacie. Marynia przyszła sama, bo mąż jej wyjechał na kilka dni. Naturalnie, był też i Karol. Słyszałam, jak przy wyjściu spytał się: „Pani pozwoli się odprowadzić do domu?“ A ona odpowiedziała ze skromną miną, spuszczać oczy: „Jeżeli to panu nie robi subiekty...“

— A hipokrytka! No, co dalej?

— Poszli razem. I co na to powiesz? O godzinie 2-iej w nocy spotkał ich Genio, jadących w dorożce na końcu Alei Ujazdowskich. Zaś dziś rano był wypadkiem mój mąż u Kettińskiego, chciał od niego jakichś papierów. Dodzwonić się nie mógł. Nareszcie otwiera Karol jakiś zmieszany, niewyraźny. W gabinecie nieład, wino i owoce na stole, a na biurku wachlarz i woreczek Maryni!

— Nie może być?!

— Naprawdę, jak matkę kocham!

— Zkądże twój mąż wiedział, że to wachlarz i worek Maryni?

— Bo wachlarz mi się podobał i oboje z mężem go oglądaliśmy, całutki z bażancich piór, a woreczek to ten, wiesz, co mama i mnie, i jej jednakowe przywiozła z Berlina.

— Nie mieści mi się w głowie... chociaż...

— A mnie się doskonale mieści. Zresztą łatwo było odgadnąć, że tam jest coś nieczystego. Marynia zawsze stawała w obronie kobiet upadłych i wynajdywała jakieś okoliczności łagodzące.

— Jaszczurka!

— No, daj buzi, idę już. Do widzenia.

— Do widzenia. A przyjdź-że kiedy na dłużej, to się nagadamy!...

* * *

— Czy nie przeszkadzam? — spytała słodkim głosem mecenasowa Ropp, wsuwając siwiejącą już głowę we drzwi dzieciennego pokoju i rozglądając się z ciekawością po wszystkich kątach.

— O nie, bynajmniej droga pani — odrzekła uprzejmie Marynia Rozdecka, wstając z dywanu, na którym się bawiła ze swoim dwuletnim synkiem.

— Siedz-że duszko! — tak cudny tworzycie obrazek, że napatrzeć się wam nie mogę; wyglądasz, jak Madonna Murillowska z Dzieciątkiem.

— Zawstydz mnie pani, nie moja zasługa, że Kostuś istotnie tak ładny.

I z wielką miłością wycelowała oba różowe policzki dzieciaka.

— Śliczny, istny cherubinek! — potakiwała mecenasowa.

— Proszę, może przejdziemy do saloniku?

— Jak chcesz i gdzie chcesz, moja Maryniu. Ja bo właściwie przychodzę do ciebie z małą prośbą. Tak się Lili podobał twój wachlarz, że nie może się o nim dosyć naopowiadać, a że to w tych dniach wypadają jej imieniny, więc chciałabym kupić taki sam lub podobny.

— Jaki to wachlarz?... proszę pani, mam ich kilka, i nie wiem, który się tak podobał.

— Nie wiem, podobno z bażancich piór, ten, co miałaś u Koci.

— Dobrze, zaraz go przyniosę, a tymczasem proszę zjeść czekoladkę.

Marynia wstaje, idzie do sypialnego pokoju i szuka w szafie wachlarza. Przez ten czas mecenasowa łyka jedną czekoladkę za drugą.

Po chwili Marynia wraca i mówi z pewnym zakłopotaniem:

— Droga pani, doprawdy, tak mi przykro, ale tego wachlarza znaleźć nie mogę.

— Jakto, zgubiłaś go?

— Myślę, że się odnajdzie, pewno jest u pana Karola.

— Co, u pana Karola?

— Zapewne, bo gdyśmy wyszli od Koci, wziął go do kieszeni. Ale pani nie nie je, bardzo proszę, pani pozwoli...

— Dziękuję, pyszne są, ale ja słodyczy nie lubię. Mąż cię obsypuje cukierkami?

— Nie, to pan Karol tak Kostusia obdarza.

— Pan Karol? Dziwne, że nie wie, jak niezdrowe są słodycze dla małych dzieci.

— O, Kostuś nie dostaje wiele cukierków, najwyżej jeden na dzień.

— Rozumiem, obdarza się dziecko, a matkę chwyta za serce.

— A tak... — odparła, śmiejąc się, Marynia.

— No, daj buzi, ty moja ślicznotko, bywaj zdrowa, bo muszę uciekać, ty moje kochanie! Ale, ale, przyjmij życzliwą przestrożę, nie zostawiaj swoich rzeczy w kawalerskich mieszkaniach, zawsze to kobietę naraża...

* * *

Five o'clock u inżynierostwa Kunickich.

Zebranych kilka kobiet i paru mężczyzn prześcigają się w opowiadaniu najnowszych ploteczek, wszyscy zaś społem pływają po literaturze i popisują się ilością przeczytanych książek. Co chwila pada jakiś tytuł i następują mniej więcej takie wykrzykniki:

— Co za świetny styl!

— Co za głęboka psychologia!

— Wysoce etyczne dzieło!

— Jaki zmysł spostrzegawczy, jakie genialne uchwycenie zasadniczych rysów charakteru! I czy wiecie, ten Iksiński, który w trzecim rozdziale ukradł bransoletę, to fakt

autentyczny, to Teczkowski, który na raucie u Kadrylskich ściągnął z toalety pani broszkę brylantową!

— Nie może być!...

— A jakże, a jakże!... sam autor mi to opowiedział w zaufaniu.

— A „Dojną krowę“ czytali państwo?

— Tak!

— Nie!

— To pyszny romans. Także fotografia z natury. Są tam przedstawieni Plotkowszy i Szarża-Bydliński...

— Och, to brzydka sprawa była, bardzo skandaliczna... Muszę to zaraz jutro kupić.

— Ale à propos skandali — słyszała pani o romansie pani Maryi? — pyta niby szeptem gospodyni, nachylając się do ucha sąsiadki.

— Słyszałam, słyszałam — odpowiada głośno zagadnięta, — niesłychany skandal!

— Ja nie słyszałam — odzywa się siedząca obok młodzianka mężatka, — przeciwnie nawet, opowiadano mi, że pani Rozdecka jest wzorową pod każdym względem kobietą.

— Tak? Dziwi mnie, że pani nic nie słyszała, wszyscy już o tem mówią. To wielka miłość z panem Ketlińskim.

— I wcale się z tem nie kryją...

— Ale, co też pani mówi? stale pozuje na skromną kobietę, idealna żona, matka wzorowa!

— Moje panie, kiedy to napewno plotka — wtrąca znowu pani Aniela.

— Co, plotka? Co to my plotki rozsiewamy? droga pani, za kogo nas pani bierze? — oburza się gospodyni domu. — Dam pani fakty! Primo: mąż Lili zastał ją w mieszkaniu u pana Karola; secundo: ona sama przyznała się pani mecenasowej, że ją Karol za serce chwycił.

— No, śmiała kobieta...

— Trzeba jednak będzie delikatnie wycofać się z tej znajomości...

— Ja zawsze czułam niczem niewytłomaczoną niechęć do niej.

— Drogie panie — odzywa się jeszcze raz pani Aniela, — ja dopiero od dwóch miesięcy jestem w Warszawie i od tak niedawna zamężną, nie znam ani świata, ani ludzi; ale powiedzcie mi, czy w Warszawie wcale niema ludzi zacnych i kobiet uczciwych? bo o wszystkich odzywacie się z powątpiewaniem...

— Dziwne istotnie pytanie — cedzi przez zęby Kunicka, — za kogoż mnie pani bierze? Gdyby opinia publiczna nie piętnowała wykroczenia przeciwko moralności i nie potępiała grzechu, zarazaby się szerzyła po całym społeczeństwie.

— Albo z braku poparcia wygasłaby — szepnęła niepoprawna mężateczka.

Dzwonek w przedpokoju. Wchodzi Marynia, wysmukła, w gładkiej angielskiej sukni z czarnego sukna, blond włosy uczesane à la Vierge, na karku nisko spięty węzeł.

— Witamy, witamy! — woła Kunicka i całuje ją trzy razy w same usta.

— Jak się masz, moja droga?... już się prawdziwie stęskniłam za tobą, wieki cię nie widziałam!

— Prawda — odpowiada Marynia z łagodnym uśmiechem, — zadomowiłam się, mąż teraz ciągle wyjeżdża za interesami, a mnie się nie chce samej wychodzić.

— Tak, wy tworzycie rzadką w dzisiejszych czasach zakochaną w sobie parę małżonków.

— Nie takie to rzadkie, jak się pani zdaje. Nowy dzwonek. Wchodzi Karol Ketliński.

Panie znacząco się uśmiechają i spoglądają na Marynię. Ona uchwyciła takie przelotne spojrzenie i mimowoli zaczerwieniła się. Karol wita się z całym towarzystwem, na ostatku dopiero zbliża się do Maryni, całuje ją dwukrotnie w rękę i siada koło niej. Zaczynają rozmawiać.

— Henryka niema?

— Znów wyjechał na kilka dni.

— A Kostuś co porabia?

— Bawi się pajacem. Ogromnie mu przypadł do gustu. Nie przypuszczałam, że pan potrafi tak umiejętnie wybierać zabawki.

— Pani mnie zawsze nie docenia.

— Ależ oceniam... oceniam...

— Przyniosłem bilety na „Widma.“

— Tak?... jak to dobrze!... na kiedy?

— Na środę.

— Ogromnie się cieszę. A pan?

— Pani wie, że ja się podwójnie cieszę.

Marynia znów pochwyciła jakiś przelotny uśmiech na ustach sąsiadki. Podrażniona, zamilkła, i skracając możebnie swoją wizytę, pożegnała wkrótce towarzystwo.

— Śliczna ta pani Rozdecka, nieprawda, panie Karolu? — zagadnęła jedna z pań.

— Istotnie, łaskawa pani. Jest to uosobienie wdzięku i prostoty.

— Pan ją bardzo lubi?

— Mam dla niej najwyższą cześć i uwielbienie; dawniej przypuszczałem, że gdy się Henryk ożeni, ucierpi na tem wieloletnia nasza przyjaźń, tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Henryk pozostał jakim był, a ja pozyskałem w dodatku przyjaźń jego żony.

— Taak...

— Opowiem wam pyszną historię! — rzekł w tej chwili Kunicki, chcąc przerwać zbyt drażliwą, jak mu się zdawało, rozmowę.

— No co? co?

— Żorżetta, ta ruda z „Wodewilu“, naciągnęła szlagona na garnitur, kolczyki i broszkę z szafirów z brylantami. Szlagon nie chciał kupić, bo były za drogie. Dawał czterysta, jubiler żądał sześciuset. Żorżetta wpada na genialny pomysł. Idzie do jubilera, płaci dwieście rubli i każe niby za czterysta oddać garnitur. Szlagon kupuje i opowiada znajomym, że jednak w Warszawie nawet w pierwszorządnych sklepach wytargować można niemal trzecią część zacenionej sumy. Wtem mu doręczają telegram z wiadomością, że żona szczęśliwie powiła syna. Stary, bo szlagon był stary, rozczulony, zapomina o Żorżecie, siada do wagonu i pędzi z garniturem do magnifiki. Żorżetta mało się nie wściekła, gdy się o ucieczce dowiedziała.

— Ha! ha! ha!... ale to znana anegdota!...

* * *

— Czem mogę służyć szanownej pani — pyta arcy-elegancki subjekt u Włodkowskiego, podchodząc do szeleszczącej jedwabiami pani Koci.

— Chciałabym coś na suknię.

— Raczy pani spocząć. Czy to ma być suknia wizytowa, czy kostyum?

— Wizytowa — coś niedrogiego a gustownego.

— Do usług. Zaraz przedstawię najświeższy genre. Mam tu coś wyjątkowego, prawdziwie okazjone kupno, piękne, modne, praktyczne i wprost za bezcen.

— Nie, to mi się nie podoba, za ciemne.

— Może to?

— Nie, za jasne.

— Tu mam coś zupełnie świeżego. Nierozpoczęta jeszcze sztuka.

— Nie lubię krat.

— Może te prążki?... bardzo dystyngowane.

— Granatowe? Nie lubię tego koloru.

— To może ten brązowy tissu?

— Brązowy! Za dwadzieścia lat kupię brązowy.

— Może to?

— Nie.

— A ten, łaskawa pani?

— Nie, nie... niech mi pan pokaże coś z jedwabnych materyi.

— Służę pani, najnowszy deseń.

— O, grochy, to się tak prędko opatrzy.

— Możeby pani wzięła czarną moreę, to taka praktyczna suknia, zawsze elegancka.

— Mam już morową.

Przed panią Kocią leży stos materyałów. Subjekt się lekko niecierpliwi, ale z rezygnacją rozwija coraz to nowe sztuki.

— Może pani weźmie grenadinę?... teraz bardzo modna, można mieć dwa spody, naprzykład jeden czarny, drugi kolorowy na odmiannę.

— To noszone w tym roku?

— Bardzo, łaskawa pani.

— To proszę pokazać.

Do sklepu wchodzi Kunicka i staje obok Koci.

— Witam panią!

— Ach, to pani!... nie poznałam, jak się pani miewa?

— Dobrze, dziękuję. Pani coś pięknego kupuje?

— Chcę czegoś na suknię wizytową, może mi pani poradzi?

— I owszem.

Obie kobiety przerzucają znowu cały stos materyałów, wyciągają nitki, gniotą jedwab w rękę, patrzą pod światło, każą sobie zapalać gaz, wreszcie obie decydują, że ten „rose lila“ jest bardzo piękny i odpowiedni, i pani Kocia po długim targu każe sobie odciać próbkę, żeby jeszcze w domu z mamą się naradzić. Subjekt choć zły i w duszy klnie, odcina z uśmiechem kawałek materyi i pakuje w kopertę.

Panie tymczasem rozmawiają.

— Wie pani, Kosaneccy się rozchodzą.

— Co pani mówi! Toż to było małżeństwo z miłości.

— Ale on myślał, że ona jedynaczka, a tymczasem jest tam jeszcze kupa siostr, coś z pół tuzina, a ona znów myślała, że on bogaty, tymczasem jego majątek już przed ślubem był wystawiony na licytację, tylko, że on ciągle durzył wierzycieli bogatym ożenkiem; gdy się ludzie dowiedzieli, że majątek panny zahipotekowany na księżycu, wystąpili z pretensjami. Podobno ich licytują. On jej wyrzuca, że go oszukała, ona jemu, że życie jej zwichnął — no i rozchodzą się.

— Zkądże pani ma te szczegóły?

— A od Roppa, który prowadzi ich sprawę rozwodową.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ostatni jasny dzień...



Ziemia o zgasłej wiośnie

Pod niebios śni kopuła,

A słońce ją miłośnie

W swych blasków sieć osnuło...

I śród ptaszęcych pień

Spoczywa rozmarzona:

Ostatni jasny dzień

Już na zachodzie kona.

Słonecznych strzał ulewa

Na miejskie spada mury

I płoną wiatle drzewa

Od złota i purpury...

Zgasi je mroku cień,

Zasnuje mgły opona:

Ostatni jasny dzień

Już na zachodzie kona.

Ziemię, co płonie jeszcze

Rozkosza i pieśczoła,

Jesienne zleją deszcze

I szare mgły oplotą...

Śród upojenia drzeń

Zali to czuje ona?

Ostatni jasny dzień

Już na zachodzie kona.

Słoneczne blaski grzeją

I ciebie tęskna duszo:

Upajasz się nadzieją,

Z której już liście prószą,

Co od zawodu technię

Umiera... nieziszczona!...

Ostatni jasny dzień

Już na zachodzie kona.

Władysław Nawrocki.



NASZ KWESTYONARYUSZ PANIENSKI.



XVIII.

...„Czemś zdecydowanym, nie poczwarką osnutą w tajemnicze obsłonki, lecz stworzeniem określonym wyraźnie ma być dzisiejsza kobieta w panienskim stanie.“

Oto słowa kwestyonaryusza „Bluszczu“, bardzo prawdziwe, bardzo nawet utarte dzisiaj, i którym nikt nie zaprzeczy.

Kobieta, na jakimkolwiek znajduje się stanowisku, powołana jest, jak każdy zresztą uświadomiony osobnik rodzaju ludzkiego, do wspólnej walki ze złem, z ciemnotą i nędzą — i do współdziałania w dobrem. Pola do pracy tej nie brak, mnóstwo go leży odłogiem,

roboty jest po łokcie: zabrać się tylko do niej trzeba chcieć i umieć.

Więc najpierw co do chęci i dobrej woli. Są istoty zimne i egoistyczne, na których usta wypływa tylko uśmiech ironii lub ziewnięcie nudy na słowa: dobro ogólne, praca społeczna i t. p. O takich tu nie mówię, — nie nie kochają, więc mi ich żal, są upośledzone i biedne. Na szczęście jest ich nie wiele i o dobrą wolę u nas łatwo. Musi ona jednak być jeszcze w dodatku wytrwała. Trudności bowiem i przeszkód w przeprowadzeniu jakiegokolwiek pracy pozytywnej jest tak wiele! Tylko zniechęcać się nie wolno, bo wprowadzić — „możecie się wyrzec obowiązków waszych i nie przyjąć cierpień, jakie przynioszą, lecz pójdziecie naprzód i cóż znajdziecie? Cierpienia bez obowiązków, gorzkie trawy bez chleba“ (Elliot).

A trudności leżą tu przedewszystkiem w sposobie zapatrywania się ogółu na każdą pracę kobiecą, wykraczającą po za zakres kuchni, spiżarni, pokoju dzieciennego.

Tutaj powiem to i owo z własnego doświadczenia, lecz przedewszystkiem muszę objaśnić czem jestem. Otóż ja jestem... „panna na wydaniu.“ Uśmiechniecie się, wrzuszycie ramionami? Tak jest, jak mówię, bo choć minęły już czasy rezydentek i panien respektowych, trwają jeszcze ciągle czasy „panien na wydaniu.“

Wychowana na wsi, kochająca wieś nade wszystko, z jej słomianymi strzechami, czarnością jej roli i szarzyzną doli ludu biednego, mieszkam od paru lat w Warszawie, gdzie zostałam „wprowadzoną w świat.“ Panna na wydaniu, wprowadzona w świat, jest to istota kształcona często starannie, ma zasady gruntowne, bywa mniej lub więcej ładną, uśmiechniętą, elegancko ubraną, dowcipną, czem się ona zajmuje? Bywaniem i przyjmowaniem, flirtem, trochę czytaniem (książek zwykle lżejszej treści z powodu ciągłego prawie rozerwania myśli), muzyką, malarstwem, gospodarstwem domowym, bezpłatnym nauczaniem, haftem, krojem... Jaki jest cel wprowadzania panny w świat? Poznanie tego świata i ludzi (dosyć płytki co prawda sposób), nabycie poloru i daru obejścia z ludźmi (co się często tłómaczy słowami: błaga i nieszczerłość), trochę rozrywka i... wybór dozgonnego towarzysza.

Panny, stale mieszkające w Warszawie, są jeszcze zajęte w koloniach letnich, ambulatoriach, filantropią w ogóle i to im czas pożytecznie zapelnia, tem więcej, że traktują te sprawy z serdecznym oddaniem się i zapalem.

Do panien na wydaniu nie zaliczam panien pracujących w biurach, dających lekcye, lub w inny sposób na chleb zarabiających.

Panna na wydaniu tem się przedewszystkiem wyróżnia, że jest traktowaną przez wszystkich, jako coś niedopelnionego, niedojrzałego, potrzebującego ciągłej kontroli i opieki. Chyba, że przekroczyła fatalną trzydziestkę. „Panna na wydaniu“ — to ptak na wylocie, podróżny na popasie, i, choć ten pogląd jest potępianym i wysmiewanym, trwa jednak ciągle. Cóż więc dziwnego, że panna na wydaniu nie jedną, a jej opieka zawsze uważa wyjście za mąż dla niej za chwilę uregulowania i rozpoczęcia nieledwie obowiązków właściwej dojrzałości i odpowiedzialności, za sposobność wprowadzenia w czyn planów, zużytkowania zasobów, dotąd na składzie w jej duszy drzemających.

Zabójczym jest taki pogląd na kobietę-pannę, jako na dziecko, potrzebujące ciągłej ścisłej kontroli, kierowanej w dodatku ciasnymi względami konwenansu.

Pamiętam jeszcze z czasów mojego życia wiejskiego, ile trudności miałam z tak małą rzeczą, jak założenie czytelnicy składkowej, albo prowadzenie pachtu na własną rękę, dla usunięcia Żyda ze wsi, albo z innymi jeszcze

tak mało przecież emancypowanymi planami. Słyszałam wtedy takie zdania: „Na co ci to?“ — „Dziecko z ciebie!“ — „Na nic się to nie przyda!“ — „To nie wypada, niestosowne dla panienki.“ — „Żadna przyzwoita panienka...“ — „Jakaś ty egzaltowana!“ i t. d., i t. d.

Jeśli zaś pozwolono mi przeprowadzić, co chciałam, to tak „na odczepne,“ niech się dziecko bawi!

Najlepsze chęci często zamierają i odważna się zrazi; to drażni, oburza i boli.

Albo inne jeszcze przykłady:

Znam młodą mężatkę, która, skutkiem nie-szczęśliwych okoliczności zmuszona jest żyć sama i myśleć o sobie. To też chce pracować i w tym celu zamierza przeprowadzić studia przygotowawcze pewnej umiejętności, która najlepiej odpowiada jej zdolnościom i upodobaniom. Tymczasem są jeszcze zaco-fańcy, którzy dowodzą, że mając zamożnych krewnych, dużoby właściwiej postąpiła, osiadając u nich „na łaskawym chlebie.“

„*Passer l'expression*,“ ci zaco-fańcy tak się nie wyrażają; to ludzie dobrego towarzystwa, którzy wiedzą, że na łaskawym chlebie może pozostawać tylko staruszka niedołężna, a osoba wzmiankowana jest młodem, miłym i dziel-nem stworzeniem.

Znam także panny w Warszawie, które po śmierci rodziców same prowadzą interes handlowy z jak najlepszym powodzeniem. Mieszka z niemi starsza krewna, a pomimo tego odzywają się o nich różnie i dwuznacznie.

Trudno uwierzyć, nieprawdaż, aby podobne zapatrywania pokutowały jeszcze wśród inteligentnych nawet ludzi i to w *dwudziestym* wieku!

Więc po co nam dają staranne wychowanie, po co nam wpajają zasady o obowiązku pracy dla dobra ogólnego, budzą w nas myśl, podniecają zapał, po co nam otwierają oczy i potem zamykają w ciemnicy?

Bo trzeba nam się uchować bladym, nikłym, wiotkim i „niewinnym“ kwiatkiem, aż do wielkiej chwili zamążpójścia. Wtedy wrota na świat otwierają się z nagłą, wychodzisz osłepiona i niepewna, niższa doświadczeniem o wiele, wiele od swego wybranego. Powiecie mi, że kobiecie oddanej obowiązkom żony, matki, pani domu niepotrzebne jest takie, jak mężczyźnie doświadczenie, znajomość ludzi, praktyka życiowa. Nie sądzę jednak, aby pogłębienie nabytej teorii przez własną obserwację i współdziałanie w wielkiej kuźni świata nie miało być dobrem i potrzebnej dla każdej rozumnej jednostki ludzkiej. Koniecznym zaś jest dla kobiety dlatego, że nie każda może znaleźć podpórę i osłonę przed zbyt szorstkim powiewem życia w osobie męża. Wiele pozostaje staremi pannami.

Stare panny—lat trzydzieści kilka i więcej, zmarszczki, siwizna, wdzięki nikną jeden po drugim, siły upadają, niedołęztwo się zbliża—wtedy nareszcie wolno ruszać się swobodnie. I czyż nie szkoda, nieodżałowana szkoda tych najpiękniejszych lat zapału, dobrej i nieostudzonej zawodami woli, jakie panna bezczynnie strawiła, czyż nie szkoda?! Boże mój! myślę czasem, że lepiejby było, żeby kobiety odrazu rodziły się trzydziestoletnie i brzydkiel!..

I nie mówię tego wszystkiego dla rozgoryczania siebie lub drugih, nie chodzi mi o bezsilną skargę, lecz myślę, że jeśli się na złe szuka lekarstwa, trzeba je oświetlić wszechstronnie. Sprawia to może w części odpowiedzi na kwestyonaryusz „Bluszczu,“ w tym też celu ogłoszony.

Nie dziś, to jutro, lecz w lepszej przyszłości zmieniają się stosunki i wierzę mocno, że kobieta wywalczy sobie wreszcie pełnoletniość i prawo do pracowania według własnej zdolności i upodobań. Dodam tutaj: odpowiednio przygotowana fachowem wykształceniem, co jest przywilejem każdego mężczyzny. W ten sposób zbliży się typ wychowania dziewcząt

do typu wychowania chłopców, tak różnych teraz. Także, sądzę, dobrzeby było, aby wychowanie wyrabiałoby w kobiecie więcej mękości, hartu, logicznego biegu myśli, jasnego sądu, więcej znajomości stosunków społecznych. W chłopcach zaś wychowanie powinno rozkrzewiać niektóre kobiece cechy delikatności i gotowości do ofiar i ustępstw, bo jak natura kobieca bez mękości jest zbyt miękka, tak natura męzka bez kobiecości jest zbyt szorstką i twardą. Jest tu naturalnie potrzebną rozumną miarą, stosowana odpowiednio do danych osobników. W wychowaniu zaś w ogóle powinna być unikana przesada w wyrabianiu zmysłu krytycznego, który teraz wśród ludzi tłumi ducha miłości i pobłażania, a w dalszym ciągu studzi zapał do pracy i wytwarza pesymizm i gorycz.

Sądzę, że upodobnienie takie wychowania chłopców i dziewcząt będzie miało jeszcze i tę dobrą stronę, że pozwoli im się lepiej i głębiej zrozumieć wzajemnie, że przygotowuje więcej małżeństw z wyboru serca i szczęście ich trwalszem uczyni. Małżeństwo, które jest połączeniem dwojga istnień w celu wspólnego pełnienia obowiązków, będzie wtedy harmonijnym pożyciem dwojga ludzi bez egoistycznej, albo intelektualnej przewagi jednej strony nad drugą.

Przyszłe pokolenie powinno koniecznie być doskonalsze od nas, a że wychowanie leży przeważnie w naszych rękach, więc od nas w wielkiej mierze zawisł postęp pokoleń.

Mamy już więcej od matek naszych świadomości naszej siły, wpływu, praw, lecz zarazem obowiązków i odpowiedzialności naszej; córki nasze, powinny być hartowniejsze od nas, bardziej zdecydowane i samodzielne.

W przyszłości powinno także upaść olbrzymie znaczenie, jakie ma teraz „to nie wypada“ i „nikt tak nie robi,“ jednym słowem wpływ konwenansu. Czyż to nie zgroza na prawdę, że przestąpienie kodeksu przepisów towarzyskich jest uważane często za większy grzech, niż przestąpienie dekalogu i nawet większe powoduje wyrzuty sumienia!

Marność! marność i wszystko marność!

Koniecznie nam się pogłębić trzeba, nam, o których podobno powiedziano, że jesteśmy narodem wiecznych dzieci, narodem, w którym dzieją się rzeczy tak opaczne, że najważniejsze, najbardziej palące i najtrudniejsze sprawy spoczywają często w rękach młokosów z gimnazyum, studentów i „panienek ze dworu.“

A jakie to tematy do rozpraw gorących między panienką a uczniem, jak się tam krzyżują wspaniałe słowa: ideały, społeczeństwo, lud, praca! Zapał jest, tylko niema przygotowania i potem niestety zapał się wypali i ludzie — a tu częściej mężczyźni — stają się filistrami. I proszę posłuchać za lat kilka rozmowy między tą samą panienką i tym samym studentem... Jakaż często pusta i płytka! Zbagatelizowała się nasza gawęda towarzyska, sądząc z tradycyi przekazanej nam o dawnych salonach.

Jest to nawet, powiem, anomalia, w chwili, gdy ruch umysłowy tak jest ożywiony, w chwili przełomu, niepokoju jakiegoś ogólnoludzkiego, młodzieńczych porywów i zainteresowania się dorobkiem kulturalnym różnych epok i narodów. Nie przeniknęły jeszcze wszędzie ożywcze prądy, przeciągające przez ludzkość: ciekawe-bo czasy przeżywamy teraz i, niech, co chcą, mówią starzy, — nie gorsze od lat np. 30-ych, 40-ym lub 60-ych. Mówię tu o gorącości uczuć, o zapale dla dobra, piękna i prawdy, o wielkiej pracy nad podniesieniem każdej pojedynczej jednostki ludzkiej do godności prawdziwego człowieka. W literaturze wszechświatowej pracują: Lutosławski, Wyspiański, Żeromski, Daniłowski, Matuszewski, Tołstoj i Gorkij, Desjardins i Wagner, Ruskin i Sheldon, Hauptmann, Ada

Negri, Orzeszkowa, Konopnicka. Nie pociąga mnie mroczna Skandynawia, lecz zaciekawia mnie Nietzsche, ten prorok indywidualizmu, egoistycznego wprawdzie, ale mającego dostojność, których trochę radabym wszczepić w nasz charakter narodowy. Kto wie, czy odrobina tego egoizmu, pojętego jako pamięć o samych sobie, poleganie na własnych siłach namby się nie przydała?..

Wpadłam na temat ogromnie mnie pociągający, na temat ulubionych moich autorów i książek. Rozprawiabym jeszcze bez końca, ale bo też kwestye poruszone przez redakcyę „Bluszczu,“ nie tak łatwo dadzą się wyczerpać. Opracowanie zaś systematyczne i dokładne tych kwestyi wymagałoby głębokich badań przygotowawczych, parę lat życia i odpowiedniej ilości papieru oraz inkaustu.

Myślę jednak, że nawet tak mało wyczerpująca odpowiedź, jak moja, byle ich było dużo, przyczyni się do zebrania danych dla sformułowania uświadomienia i uporządkowania wielu kwestyi, tak w głowach naszych panieńskich, jak w umysłach społeczeństwa. I dlatego wdzięczność i podzięką należą się redakcyi „Bluszczu“ za powzięcie myśli podobnego kwestyonaryusza.

—ska.—

XIX.

Szanowna Redakcyo!

Zachęcona wezwaniem do panien, by napisały swe własne zapatrywania, ośmielam się podać kilka słów na ten temat.

Kobiety polskie odznaczały się zawsze urokiem i wdziękiem prawdziwie kobiecym — działały przeważnie w kółku rodzinnem lub swych najbliższych przyjaciół, więcej niż publicznie — i to według mego zdania powinny dochować i nadal — na zawsze, o ile nie czują prawdziwego jedynie powołania poświęcenia się szerszej ludzkości. Najpiękniejsze jest powołanie kobiety, jako kapłanki ogniska domowego.

Ukończywszy nauki ogólne w dobrej szkole publicznej, powinna zająć się przy boku czujnej matki gospodarstwem domowym, i tak: sprzątaniami, kuchnią, zwłaszcza przyrządzaniem smacznych potraw codziennych, które są miłą rozrywką (lepsze domowe, niż kupne) i są wielką zarazem oszczędnością. Ładne podawanie do stołu i nakrycie też panience przystoi.

Koniecznie powinna umieć szyć, tak bieliznę, jak i suknie, talentu wielkiego do tego nie potrzeba, a jest to przy dzisiejszych zmianach mód rzeczą wielkiej wagi i prawie niezbędna. Rzeczy uszyte w domu są więcej indywidualne, tańsze, można mieć więcej i często według własnego gustu przerobić.

O ile panna ma talent, powinna uprawiać muzykę przedewszystkiem, malarstwo, języki i roboty ręczne. Głębsze, wyższe nauki wtedy jedynie, gdy czuje specjalne powołanie, wytrwałość i zdrowie, aby mogła dojść do obranego celu lekko i bez wielkiego trudu. Medycyna jest na pierwszym planie, wymaga jednak całego zaparcia się siebie i żelaznych nerwów, powinno się więc dobrze zbadać naturę swoją, nim się odważy na tę ciężką pracę.

Miłość idealną, pełną marzeń, coraz mniej się napotyka—czas na to zanadto realny i każdy więcej myśli o przyszłości, jak mu życie wypadnie, niż o chwili danej. Wystarczy (jeżeli miłości niema), szacunek, zrozumienie się wzajemne, sympatya, przyjaźń, aby małżeństwo było szczęśliwe. W mężczyźnie wykształconym widzę przyjaciela, który mi w każdej chwili życia poda swą silną dłoń, zrozumie i pocieszy, uzna zasługi serca i czynu. Kobieta powinna zarówno z mężem pracować, pomagać mu, pocieszać i wspierać. Co do wspólnej pracy, w każdym powołaniu da się ona zastosować, najbardziej jednak na wsi

w gospodarstwie—jest to najidealniejsze, najbardziej wspólne zajęcie. Dlaczego tak wiele kobiet odrywa się teraz od roli, dążąc do wielkich hucznych miast i rozrywek?

Czyż jest coś piękniejszego jak uprawiać tę matkę-ziemie, która zawsze wdzięczna, hojnie wynagradza, gdy się ją z miłością wytrwale uprawia i pielęgnuje!... W chwilach wolnych można też uprawiać muzykę i literaturę; kształcenie i prowadzenie biednych, nieświadomych chłopków, też kobiecie nie jedną chwilę zajmie, a zasługi jej będą wielkie.

Kobieta zwłaszcza powinna zawsze pozostać religijną — według niej bierze wzór rodzina cała, bardzo często i mąż, — a o tem żadna z Polek zapominać nie powinna.

X. X.

Ferdynand Hoesick.

FRYDERYK CHOPIN

W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ.
(1829—1830).



(Ciąg dalszy).

Bardzo ładnie i z prawdziwie poetycznym polotem odtworzył tę chwilę w życiu Chopina p. Henryk Cepnik w krótkim szkicu o *pierwszej miłości* twórcy „Koncertu F-moll.“ Nie widział jej przedtem nigdy, nie znał nawet wcale, ale kiedy ją ujrzał wtedy, owego pamiętnego wieczoru, gdy drżąca ze wzruszenia, z gorączkowym rumieńcem na bladej zwykle twarzyczce, z piersią silnie falującą, załęczniona i nieśmiała, stanęła na estradzie koncertowej, gdy usłyszał jej głos, ten głos tak mięki i dźwięczny zarazem i tak dziwnie melodyjny, że niemal usypiający, odurzający niby opium, narkotyk, od pierwszej chwili, od pierwszego wejrzenia, pokochał ją całą potęgą młodzieńczego uczucia. Błady, z zapartym oddechem, wpatrywał się w to czarowne zjawisko, jakby z innych jakichś, piękniejszych pochodzące światów. Widział ją i podziwiał: po za nią cały świat przestał istnieć dla niego. W jednej chwili stała się ona jego duszą, jego myśli panią, zapanowała wszechwładnie i niepodzielnie w jego sercu, rzuciła w duszę jego zarzewie nowego, a nieznanego przedtem uczucia, które w mgnieniu oka buchnęło jasnym płomieniem, w pożar się zamieniło, i gorącą, ognistą lawą spłynęło w jego żyły. Patrzył w nią, jak w tęczę, pożerał oczyma, przepelniony bezmiernem uczuciem radości, rozkoszy, szczęścia i smutku zarazem, smutku i żalu. On chciał sam ją podziwiać, uwielbiać, a tu, tu podziwiali ją wszyscy. Rozległy się oklaski. Zbudzony, jakby ze snu, spojrzął na nią raz jeszcze i ujrzał błysk radości w jej oczach, uśmiech zadowolenia na różanych usteczkach, z po za których wyłoniły się na chwilę, na krótką chwilę, dwa rzędy drobnych pereł. Skłoniła się lekko przed publicznością i zbiegła szybko z estrady. Czarowne zjawisko znikło, jak sen, pierzchnęło niby płochych ptasząt stado. Nie czekając na dalsze produkcje, wyszedł z sali koncertowej. Kiedy indziej byłby został, dziś nie mógł tego uczynić, nie mógł, nie mógł!... Wróciwszy do domu, zasiadł do fortepianu. Z pod palców jego popłynął huragan

dźwięków, z początku cichych, nieśmiałych, drżących tajemną jakąś tęsknotą czy skargą, potem coraz silniejszych, coraz głośniejszych i gwałtowniejszych. Uczucie, które rozpiekało mu piersi, miotało całym jego jestestwem, to uczucie, nie skryształizowane jeszcze, zbyt jeszcze ogólne i lotne, przelał w tony miękie, rzewne, a tęskne: wypowiedział dźwiękami wszystko to, co się w duszy jego działo. Nikt go nie słyszał, był sam, sam jeden, mógł rozmawiać z sobą...¹⁾

Upłynęło pół roku, a on wciąż żył wspomnieniem tego wieczoru. Kochał się, marzył o swym „idealu“, korzystał z każdej okazji, gdy ją mógł widzieć, spotkać na ulicy lub w kościele, w teatrze lub Konserwatorium, ale trzymał się zdaleka, i kryjąc się ze swem uczuciem, z którego tylko przed jednym Wojciechowskim nie robił tajemnicy, nie miał dość odwagi i śmiałości, by z piękną Konstancją poznać się osobiście.

Rodzi się pytanie, czy ta „pierwsza miłość“ Chopina była istotnie uczuciem gorącym i rzetelnym, czy też była to tylko romantyczna poza młodzieńcza, który, jak tylu innych jego rówieśników, wychowanych na Wertherze, Byronie i poematach Mickiewicza, koniecznie pragnął mieć swój niewieści ideał, swą Lotte, Leile czy Maryle, który uważał, jak młody 28-letni Słowacki, że nie byłby poetycznym — a poetycznymi chcieli być wszyscy młodzi artyści i poeci tego czasu — gdyby nie miał swojej „bogdanki“ czy „kochanki“, swego „bóztwa“ czy „ideału.“

Zdania są podzielone w tym względzie; jedni wierzą w szczerłość uczuć Chopina, przekonani o jego namiętnem przywiązaniu dla uroczej burgrabianki, i do tych należą takie powagi w zakresie Chopinografii, jak Liszt,

¹⁾ „Wiadomości artystyczne“ (lwowskie) № 21-szy z d. 1-go listopada roku 1890, str. 152. Przytoczony wyjątek z pięknej pracy p. Cepnika, będącej raczej poematem prozą, trochę przypominającym Przybyszewskiego „W godzinie eudu“, niż studyum naukowem, choć jest utworem wyobraźni twórczej, to jednak, jako taki, tak doskonale wnika w uczuciową naturę Chopina, że nie mogłem się oprzeć pokusie, by go tu nie przytoczyć, jako artystycznej ilustracji do ściśle historycznego tekstu...

W lipcu r. 1895-go wydrukował C. Gerhard w „Berliner Neueste Nachrichten“ obrazek *Aus Chopins Liebesteben*. zatytułowany: „Das Ringlein.“

Opisując ten koncert w Konserwatorium, i wrażenie, jakie na Chopinie uczyniła wdzięczna postać Konstancji, powiada wyżej wymieniony autor niemiecki: „Constancia Gładkowska war sehr schön: ihr von goldenen Haaren umrahmtes Antlitz war nur matt angehaucht, wie die Blütenblätter einer Theerose und trug kein polnisches Gepräge; doch ihre tiefblauen Augen leuchteten und sprühten, wie die ihrer dunkelhaarigen Schwestern und ihr Gesang verriet eine leidenschaftliche Seele. Als sie geendet, wurde sie mit rauschendem Beifall überschüttet; nur ein Jüngling stand da, ohne die Hände zu rühren, ohne in die lebhaften Beifallsrufe einzustimmen. Seine schwächliche Gestalt überflog zuweilen ein Schauer des Entzückens, mehr als einmal warf seine schlanke Hand in der Erregung das üppige kastanienbraune Haar aus der Stirn, und seine dunklen Augen hingen mit unverhohlener Bewunderung an dem reizenden Mädchengebilde. Der begeisterte junge Mann mit der vornehmen Haltung war Frédéric Chopin... Für die anderen Debütanten hatte er an diesen Abend keinen Blick; er sah und hörte nur Constantia Gładkowska, deren Schönheit, wie die tiefe, weiche Altstimme ihn in einen Wonnerausbruch versetzte.“

Obrazek ten Gerharda, zawierający kilka nowych szczegółów o Konstancji Gładkowskiej, spolszczył w „Kuryerze Codziennym“ z dnia 13-go grudnia 1895-go r. Jan Barszczewski w artykule p. t. „Dwa ideały Chopina.“

Karasowski, Kleczyński, Tarnowski, Niecks, Żeleński, oraz wielu innych, co o Chopinie pisali, jak pani Audley, Niggli, Wodziński, Barszczewski, Gerhard, Cepnik¹⁾; drudzy zaś, bardziej krytycznie i sceptycznie usposobieni, dowodzą, że tej Chopinowskiej pierwszej miłości nie można traktować na seryo, że jedyną miarą, jaką do niej przykładać należy, jest ta, jaką się przykłada do „pierwszej i ostatniej miłości“ Słowackiego ku Ludwice Śniadeckiej. Tymi niewiernymi Tomaszami, nie wierzącymi w rzetelność tej pierwszej miłości Fryderyka, są Bronisław Chlebowski, Aleksander Poliński i Adolf Strzelecki. Zdaniem Chlebowskiego „w miłości tej większą odgrywa rolę wyobraźnia, niż serce, nerwy, niż krew,“ i dlatego zasługuje to uczucie dla Konstancji raczej na nazwę „miłosnego zawrotu,“ aniżeli prawdziwej miłości²⁾. Poliński uważa, że biografowie Chopina zbyt wielką wagę przywiązują do jego uczuć względem Gładkowskiej. „Że mu się młoda, przystojna pensyonarka Konserwatorium podobala, to nie ulega wątpliwości; mogła mu się nawet *snic po nocach*, boć przecie 19-letnim młodzieniaszkom snić się zwykły i snić się muszą *ideały*. Że na jej cześć napisał walczyka (którego zresztą nie wydał) i „Adagio“ do *koncertu*, to i w tem niema jeszcze nic nadzwyczajnego, gdyż prawie każdy z nas śleczwał w młodości nad rymami, przeczulone fabrykował sonety lub mozolne akrostychony układał na cześć swego ideału. Była to po prostu miłość młodzieńcza, idealna, ale nie ślepa, nie namiętna, która żadnego zgoła wpływu nie wywarła ani na życie Chopina, ani na jego twórczość artystyczną. Zwykła miłość studencka, która mu nie przeszkadzała umizgać się do panny Blahetki, młodej i pulchnej pianistki wiedeńskiej, podziwiać perłowe ząbki Wolkówny, rywalki scenicznej jego ideału, „wyglądającej, jak aniołek, a tak pięknej, jak żadna z naszych aktorek,“ lub zarzucać Gładkowskiej, że ma złą emisję i że nie ma dobrego *fis* i *g* u góry. Bawił się w miłość... Konstancja była dlań jakby tematem, którego często używał w swych wariacjach romansowych, a ten rodzaj muzyki sercowej uprawiał dość często.“ Ostatnia konkluzja, do jakiej dochodzi Poliński, jest ta, że Chopin wówczas „ani w Gładkowskiej, ani w żadnym innym *idealu* nie kochał się jeszcze prawdziwie“³⁾. Zupełnie tego samego zdania w tej kwestyi jest Strzelecki, a na postawione sobie pytanie: czy uczucie Chopina dla Konstancji Gładkowskiej było miłością prawdziwą? odpowiada: — Nie, stanowiło nie! „Była to młodzieńcza fantazja, osnuta na temat miłości przez 19-letniego romantyka. Był on w tym wieku, gdy młoda dusza, nieskalana życiem, czysta i niewinna, odczuwa ogromne pragnienie miłości, pożąda tego uczucia,

¹⁾ Niżej podpisany w swym zarysie biograficznym o Chopinie („Życiorysy sławnych ludzi,“ № 7) jak również i w szkicu o „Młodzieńczym idealu Chopina“ („Szkice i opowiadania historyczno-literackie“ (str. 120—140) zajął to samo stanowisko.

²⁾ „Fryderyk Chopin, Charakterystyka,“ „Ateneum,“ lipiec, 1801.

³⁾ „O Fryderyku Chopinie w półwiekową rocznicę zgonu.“ W feljtonie „Kuryera Warszawskiego“ z października 1899-go roku.

ZE SZTUKI.

Aleksander Gierymski.

(Z powodu wystawy pośmiertnej prac jego w salonach Zachęty Sztuk Pięknych).

Pośród tłumu, kroczącego gościńcem utartych dążeń, przeciętnych uczuć i pospolitych myśli, zdarzają się — niestety, zbyt rzadko — natury dziwnie wrażliwe na otaczający nas świat zjawisk; natury, których, że tak powiem, dręczy wprost tajemniczość tego świata i których życie całe jest szeregiem usiłowań poznania choć drobnej cząstki tajemnicy bytu.

Jedną z takich natur niezwykle, badawczych, był zmarły przedwcześnie artysta-malarz Aleksander Gierymski.

Ile głów, ile mózgów — tyle rozmaitych na świat poglądów, tyle rozmaitych sposobów jego rozumienia, badania i tłumaczenia.

Jednym świat przedstawia się, jako nieustająca walka idei — inni widzą go, jako powinowactwo i odpychanie pierwiastków chemicznych, jeszcze inni słyszą go, jako wieczną harmonię dźwięków.

I tak dalej, aż do nieskończoności.

Który z tych poglądów jest prawdziwszy — odpowiedzieć trudno. Każdy z nich jest słuszny, wszystkie bowiem cel mają jeden: uchylić choć rąbek tajemniczej zasłony Izidy i choć jedno ziarnko prawdy dorzucić do skarbnicy wiedzy ludzkiej.

Gierymskiemu świat przedstawiał się, jako układ kształtów i plam barwnych, układ wiecznie żywy, zmienny, przedstawiający nieograniczoną ilość kombinacji świetlnych, a mimo to podległy ciągle niezmiennym prawom harmonii.

W to morze zjawisk świetlnych zagłębił się niezmordowany ten badacz i wydobył z niego skarby prawdziwe. W stu kilkudziesięciu pracach jego, wystawionych obecnie w salonach „Zachęty“, złożony jest taki olbrzymi kapitał pracy malarskiej, taki ogrom obserwacji, badań i doświadczeń artystycznych, że nas dziś wprost zdumiewa ta potęga energii twórczej, wytrwałości i pracowitości zmarłego artysty.

A nie zapominajmy, że to cząstka tylko tego plonu, jaki zebrał w swem smutnym, pełnem gorczy i rozczarowań bolesnych życiu.

Obdarzony od natury subtelnem poczuciem barwy, Gierymski za pomocą studyów usilnych zdolność tę doprowadził do przedziwnej doskonałości. Takiego zgłębienia się płaszczyzny płótna, takiej plastyki i perspektywy obok świetności kolorytu nie zdarzało mi się spotkać w malarstwie naszym.

W pracach swoich Gierymski chce być i jest ciągle tylko malarzem. Obrazy jego nie interesują tematem, ani treścią anegdotyczną. Motyw ich zaciekawia tem tylko, co artysta z niego wydobył, co nam o nim z punktu czysto malarskiego powiada; — zaciekawia przez artystyczne swe przedstawienie.

Dla malarzy i w ogóle dla tych, których

po za treścią obrazu interesuje samo malarstwo, obrazy Gierymskiego są istną skarbnicą niespodzianych zjawisk barwnych.

Gierymski nie stara się z malowanej natury wydobyć duszy. Nie idzie mu też o wyspowiadanie się przed widzem z własnych stanów uczuciowych. Jego sztuka jest obiektywna; chodzi mu o wywołanie jaknajdoskonalszego złudzenia prawdy na płótnie. I do tego celu szedł drogą własną, odrębną, gromadząc masę materiałów, notatek i studyów. Jedyne źródłem wrażeń była dla niego natura i jedynym też ich sprawdzianem. Nie korzystał z doświadczeń swoich poprzedników. Wszystko, co zdobył, a zdobył bardzo wiele, zawdzięcza jedynie sobie.

Subtelny obserwator i znawca duszy ludzkiej, Guy de Maupassant opowiada w traktacie swoim „o Romansie“, że raz Flaubert dał mu tę radę, by obserwując jakąś rzecz lub zjawisko, dopóty się w nie uważnie wpatrywał, dopóki się w nich nie dopatrzy czegoś zupełnie nowego, niedostrzeżonego przez innych. Radzie tej Maupassant zawdzięcza niesłychaną subtelność swoich obserwacji.

Drogą wskazaną przez Flauberta, szedł bezwiednie Gierymski, i zdaje się, że jest to droga wszystkich samodzielnych badaczy; wpatrywał się w naturę z passją zakochanego, wgryzał się w nią, że tak powiem, oczyma, notował, dociekał, upraszczał, jeden motyw malował po kilka, czasem po kilkanaście razy, wzmacniał, potęgował nateżenie barw lokalnych, — i w rezultacie otrzymywał obraz świetny w kolorze, niesłychanie plastyczny, a pod względem logiki światłocienia niedościgniony.

Krytyka dzisiejsza odmawia Gierymskiemu tytułu kolorysty. Twierdzi ona, że Gierymski nie był wrażliwy na barwy, że był raczej świetnym rysownikiem, który usilnej tylko pracy zawdzięcza względną kolorowość swoich obrazów, i że rezultaty, jakie pod względem barwy osiągnął Gierymski, w porównaniu z dzisiejszemi zdobyczami kolorystyki, zaliczyć należy do średnich.

Efektowne to twierdzenie zarazem ślizkie jest bardzo. Przeczą mu choćby obrazy, wystawione w „Zachęcie“ (a niema wśród nich najkapitałniejszych prac Gierymskiego, zakupionych za granicą).

Pomijam już to, że niektóre z nich pod wpływem czasu zczerniały, inne znów tak są zabrudzone (np. „Przystań na Wiśle“), że należałoby je dobrze z brudu umyć.

Chodzi mi jednak o rzecz inną, zasadniczą, o samo pojęcie kolorowości obrazu.

Dzięki jasnemu wykładowi Witkiewicza, dziś każdemu z nas wiadomo, że tak zwana kolorowość obrazu nie polega na jego mniej lub więcej mocnem ubarwieniu, t. j. na jaskrawej kombinacji barw lokalnych (to bowiem jest sprawą osobistego upodobania malarza i krytyce podlegać nie może), ale zależną jest jedynie od zharmonizowania tych barw względnie do światła użytego w obrazie, czyli od mniej lub więcej subtelnego odczuwania przez malarza wartości poszczególnych tonów i zachowania między nimi odpowiedniego stosunku, słowem polega na harmonii.

Co więcej, każdemu dziś już wiadomo, że nawet rysunek, robiony dwiema tylko barwa-

które samo w sobie wydaje się jej czemś nieskończenie pięknem, wielkiem, wspaniałem. Książki, podniecające fantazję obrazami rozkoszy i bólów, spowodowanych miłością, obserwacje z życia codziennego, towarzyskiego, a wreszcie samo oddziaływanie *des ewig Weiblichen* na dojrzewającą i budzącą się miłość, wszystko to wzmacnia posiadanie doświadczenia *in anima vili*, jego wpływu i oddziaływania, ów *besoin d'aimer*, tkwiący w każdej ludzkiej istocie. Nie znając nawet może „Sonetów“ Mickiewicza, Chopin nie mógł oczekiwać się tych chwil, gdy:

Serce porywa słodkie zachwycenie,
Usta się spotykają, oko ginie w oku,

Lza ze lzą i z westchnieniem miesza się westchnienie,

marzył o nich, tęsknił za nimi. Jako artysta-romantyk, uważał za niezbędną konieczność zakochać się, choćby nieszczęśliwie, aby upoetyzować swe życie, opromienić je czarem dotąd nieznanym. Wreszcie zetknął się z tą, która mu się zdawała być wybraną jego duszy, tym ideałem, o którym roił sny cudowne. Wmówił więc w siebie uczucie, wytworzył w sobie nawpół dziecinny, nawpół idealny afekt do ładniutkiej panienki, przybrał swój ideał we wszystkie możliwe uroki i wdzięki wymarzonej, idealnej kochanki; z siłą młodzieńczej wyobraźni, tem lotniejszej, iż była wyobraźnią artysty, wytworzył sobie świat urojonej miłości. Była to przelotna studentka miłostka, mająca swe źródło w fantazji młodego chłopca, a nie poważne, głębsze uczucie. Wystarczyło mu patrzeć zdala na swój ideał, nie starać się nawet doń zbliżyć, a tego nie można kłaść na karb nieśmiałości; była to raczej obawa, aby przy bezpośrednim zetknięciu rzeczywistość nie rozwiła złudzeń. On kochał w niej swoją miłość, a raczej nie swoją miłość, lecz miłość w ogóle. W dodatku ona była artystką, śpiewaczką o wybitnym talencie i bardzo pięknym sopranowym głose; posiadała tedy o jeden warunek więcej, aby zawrócić głowę młodemu chłopcu, w którym zachwyt nad jej artystem, upodobanie w jej piękności, pragnienie kochania i potężnej namiętności zmieszało się w chaos, który trudno nazwać szczerem, prawdziwym uczuciem. To, co powiedziano o Słowackim, da się wybornie zastosować do Chopina, tak, że mimo woli przypomina się Don Kiszot, który także miał taką chwilę w życiu, kiedy uważał, że ma już wszystko, prócz damy, w którejby był zakochany, bo rycerz błędny bez miłości, to jak drzewo bez liścia i owocu, to jak roślina bez kwiatu. Młody romantyk myślał podobnie, to też wynalazł sobie ideał, stroił się w swą miłość, i w tym stroju podobał się sobie bardzo... Bawił się sam swemi złudzeniami, dramatyzował trochę, a w gruncie rzeczy czuł dla swego *idcátu* tylko wielką sympatyę i życzliwość dla młodej dziewczyny, a uwielbienie i zachwyt dla artystki, koleżanki w zawodzie... Uczucie, które obudziła w Chopinie, było upodobaniem w nieznanem uczuciu raczej, jak miłością kobiety, było tem, co Romeo czuł dla Rozaliny, zanim ujrzał Julię i pokochał¹⁾.

(Ciąg dalszy nastąpi).

¹⁾ „Karty z życia Chopina“, „Przegląd Polski“, 1900. luty, str. 222—231.

mi, czarną i białą, może być bardzo kolorowy (jak np. wszystkie rysunki Gierymskiego).

Poczucie tej harmonii jest wrodzone. Kto go nie posiada, ten go pracą, choćby najusilniejszą nie nabędzie. Gierymski zdolność tę posiadał w wysokim stopniu. Jego obrazy pod względem ustosunkowania siły tonów na wszystkich planach, rozkładu światła, są, można powiedzieć, matematycznie ściśle. Gierymski malował tonami, tworzonymi z kombinacji wielu barw czystych. Przy odpowiednim oddaleniu oka od obrazu, kombinacje te wywołują wrażenie przedziwne: oto zupełnie nie widzi się farb, roboty, techniki. Farby literalnie przetopione są na marmur, drzewa, mury, wodę, błękit nieba, blaski. Światło na jego obrazach świeci nieklamany blaskiem. W takich np. „Piaskarzach“ lub w „Trąbkach“ woda płynie, marszczy się, drży tysiącem odbić i odblasków. Dalej „Wnętrze pałacu“ lub „Motyw z kościoła,“ gdzie ołtarz ze złoconą wypuklorzeźbą, kolumna malachitowa, okno okrągłe o kolorowych szybach, a przedewszystkiem światło drgające na złotych rzeźbach, mahoniach i zamierające po zakątkach, są tak prawdziwe, tak żywe. Obrazy te, to maximum złudzenia rzeczywistości, na jakie w ogóle stać malarstwo.

Specjalne studia możnaby robić nad niebami Gierymskiego. Każde inne co do formy, barwy i światła. Bo Gierymski był talentem bogatym, nie zadawał się raz zdobytym motywem kształtów lub kombinacją tonów barwnych. Obrazy jego tak są rozmaite, jak rozmaite było źródło, z którego je czerpał — natura.

Oprócz poczucia barw, Gierymski w wysokim stopniu posiadał poczucie dekoracyjności.

Jak każdy sam mógł zauważyć, siła barw i światła na obrazie słabnie w miarę oddalania oka od malowidła. Barwa blaknie, światła przygasają, a cienie szarzeją. Otóż dekoracyjność malowania polega właśnie na takim dobraniu tonów barwnych i świetlnych, ażeby one dopiero z pewnego oddalenia sprawiały efekt zamierzony.

Zdolność tę posiadał Gierymski w stopniu nadzwyczajnym. Na jego obrazach kolory czyste, położone obok siebie, mieszają się na oku widza, z przedziwną harmonią. Proszę spojrzeć na takie studia do obrazu „Altana,“ mieniące się zblizka tysiącem barw rozmaitych, całą tęczę kolorów — co przy odpowiednim oddaleniu wywołuje wrażenie drżącego światła, przedzierającego się przez skłębione gałązki i liście oplataną zielenią altany. Szary ton muru w innym obrazie wywołany jest układem mnóstwa drobnych, obok siebie położonych plamek kolorowych.

Słabą stroną w twórczości Gierymskiego są figury. Gierymski nie czuje ruchu, nie włada wyrazem. Na obrazach jego figury — czy to będzie krowa, przechodząca przez ulicę miasteczka niemieckiego, czy elegancka pani z dziewczynką na moście miejskim, czy też pan w długich butach z biczyskiem w ręku, stojący na tratwie, czy dziewczyna, czerpiąca dzbankiem wodę z rzeki, — figury te nie wiążą się, nie spletają harmonijnie z kompozycją obrazu, zdają się być umieszczone bez artystycznej potrzeby; co więcej, one pozują, są ciężkie, nie czuć w nich nagłości ruchu,

pochwyconego na gorąco, ani przypadkowości układu.

Gierymski nie władał wyrazem. Co prawda w większości obrazów nie kładł on nacisku na psychiczną stronę tematów. Dla niego człowiek na obrazie był głównie plamą barwną lub bryłą, mającą pewien określony kształt i barwę. Niemniej tam nawet, gdzie wyraz pewnych stanów uczuciowych wypływał z samego założenia obrazu, tam nawet figury jego nie mówią nic, nie wyrażają nic. Weźmy naprzykład obraz, zatytułowany: w „Altanie.“

Obraz komponowany na figury.

W altanie, oplataną zielenią, siedzi przy stole towarzystwo w kostymach z epoki „rococo.“ Na stole kieliszki z winem. Lato, słońce prześwieca przez liście. Zdawałoby się, że ci ludzie — młode damy i panowie z wykwińskiego towarzystwa — powinni się bawić; rozmowa powinna być wesoła, choć pusta. Gdzietam! figury te mają miny znudzonych pozowaniem modeli. Twarz kobiety, zwróconej bokiem do widza, tak nie pasuje do tego wykwińskiego ubrania, tak nie wyraża nic, prócz nudy, tak jest przytem pospolita, że sprawia wrażenie służącej, przebranej za margabinę. Twarz pana, pochylonego nad basenem, również pozbawiona jest indywidualnego wyrazu.

Jest jednak praca Gierymskiego, w której wyraz doprowadzony jest do niesłychanej potęgi i siły — to jego portret własny. Z tych ust, kurczowo zaciśniętych, z oczu, palających jakąś gorączkową pracą wewnętrzną, wзира taki ból, taka gorycz, taka męka duszy, wiecznie szarpanej przez życie, pędzonej po świecie, niby wichreim gnany liść jesienny.

Tragiczne było jego życie — typowe życie polskiego artysty.

Nieuznany w kraju, jako artysta, jako człowiek nierozumiany przez otoczenie, Gierymski ze swą wytworną, nawskróś nerwową naturą, dusił się poprostu w ówczesnych stosunkach artystycznych Warszawy, które były potworne. Uciekał z kraju, szukając odpowiedniejszego środowiska, a tam męczyła go znów bezwiedna tęsknota, i znów wracał w nadziei, że się coś u nas poprawiło w życiu, w pojęciach ogółu i krytyki. Życie jego było ciągłą szarpaniną. Bieda, niepokój, zgryzota, obrażona ambicja żarły tę duszę dziwnie czułą, wrażliwą i pod pozorami szorstkości kryjącą wielką tklivość.

Witkiewicz, który był jednym z tych niewielu, którzy Gierymskiego znali bliżej i który napisał świetny jego życiorys (drukowany w „Bibliotece Warszawskiej“ w roku zeszłym), tak opisuje jedną z ostatnich swych u niego wizyt:

„Kiedy znowu przyszedłem do pracowni Gierymskiego, przedstawiała się ona inaczej, niż przed laty. Wielkiego, świetnego obrazu nie było śladu, została tylko jeszcze jaśniejsza plama po nim i strzęp płótna uczepony na jednym gwoździu; w obrazie, przedstawiającym renesansową siestę, wyciętych było kilka dziur, kwadratowych okien; inne płótna wydarły własnym ciężarem górne gwoździe i zwisały melancholijnie na dół, świecąc odwrotną stroną zakurzonego płótna; połowa świetnych studyów znikła, wszędzie ze ścian

obnażonych wзираła jakaś niszcząca i rozpraszająca siła; jakieś złowrogie widmo zdawało się rozpościerać i gasić świetne blaski talentu, które tu promieniały przed kilku laty. Kostyумы, ciężące przez czas długi, wydarły w końcu gwoździe i haki, i zsunęły się w wielką, zmiętą i zakurzoną kupę łachmanów, dokoła obnażonej i podziurawionej ściany. Kłęb starych ubrań, zmiętych kołnierzyków, dziurawych butów leżał tuż na przejściu, a z niego sterczał róg blejtramu, na którym odkryłem potem ową „Babę.“ Łóżko z kołdrą podartą i brudną pościelą stało jaśnie i bezwstydnie, nie dbając o nikogo; nie zamiatana podłoga zarzucona była ogarkami papierosów, niedopałkami zapalek, szczątkami studyów, papierów i wyciśniętymi tutkami farb. Było zimno, a prostopadłe światło z dachu, przesiane przez ściekające strugi deszczu, napełniało wszystkie kąty bladą, zimną jasnością. Gierymski w cylindrze, w wyszarzanym paltocie, blade, zielony, obrośnięty, z niestrzyżoną brodą, spozierał z pewnym, chwytającym za serce wstydem po tych ścianach, po całym tem otoczeniu, świadczącym, jak przeszły te lata jego życia...“

Tak żył jeden z najświetniejszych malarzy polskich. Umarł w Rzymie, a dziś obowiązkiem naszym jest sprowadzić prochy jego do niewdzięcznego miasta i choć po śmierci oddać cześć należną wielkiemu artyście.

Kacper Stan.

Nabiał.

I.

Mleko.

Iluz to genialnych mędrców świat wydał od czasu, gdy człowiek począł myśleć, i później, gdy myśli swe utrzymywał czy to piśmem klinowem, runami czy też maszynami, wybijającymi do 15,000 egzemplarzy drukowanych arkuszy na godzinę. Zkądżeż ci wielcy myśliciele czerpali swą wiedzę i mądrość?

Odpowiedź bardzo prosta: z niewyczerpanej skarbnicy, z olbrzymiej, nigdy niezamkniętej księgi natury, w której umieli czytać, a co wyczytali, ubierali w formy mniej lub więcej ogółowi przystępne.

Niesłychanie to wdzięczne zadanie czytać w owej księdze, lecz przedewszystkiem mieć klucz do niej, by mózdz korzystać z ogromu wiedzy w niej nagromadzonej. Kluczem tym są najpierw wstępne wiadomości przyrodnicze, potem, nieodzowny zmysł spostrzegawczy i oryentacyjny. Nie każdemu jest danem klucz ten posiadać, postaramy się przeto uprzyścić wam, czytelniczki, poznanie jednego z bardzo ważnych i ciekawych ustępów księgi natury, mianowicie zaś podstawę jednego z ważnych pokarmów, tak dla niemowląt, jak i dla dorosłych, t. j. istotę mleka, jego użyteczność spożywczą i t. d., i t. d., podobnie jak to uczyniliśmy przy opisie chleba. Ze względu jednak na ogrom materiału, i nasze zadanie, które zamknąć musimy w ramach go-

spodarczo-przyrodniczych, ograniczymy się głównie na badaniu mleka zwierzęcego i jego pożytku, wspominając tylko wtedy o mleku kobiecym, gdy wypadnie nam porównywać skład jego ze składem mleka zwierzęcego i zestawiać zachowanie się jego w pewnych warunkach z zachowaniem tego ostatniego.

Mleko jest to płyn wydzielany wyłącznie przez zwierzęta ssące za pomocą odpowiednich gruczołów. Natura, przeznaczywszy matkę do wydania na świat nowej istoty, dziwnie mądrze obmyśliła, aby jej równocześnie ułatwić wyżywienie tejże i obdarzyła ją naturalnym pokarmem, najodpowiedniejszym dla słabutkiej istotki, której delikatny ustrój wymaga odrębnego pożywienia. Pożywienie to musi posiadać wszelkie składniki, mogące wytwarzać w młodziutkim organizmie krew, mięśnie, kości, mózg i inne organy ciała zwierzęcego, aby wypełniło swe zadanie, przytem zaś mieć formę tego rodzaju, aby przez bardzo delikatny organizm noworodka mogło być jak najłatwiej przyswajane.

Trudne to zadanie w zupełności wypełnia mleko, zawierając w postaci płynnej, to jest najłatwiej przez organizm przyswoić się dającej, częścią niesłychanie rozdrobnione składniki pożywe, mechanicznie w niem zawieszane, częścią zaś rozpuszczone.

Głównymi częściami składowymi mleka są: woda, części stałe organiczne, t. j. takie, które się tylko znajdują w żyjących organizmach i które powstają w skutek szczególniejszej przemiany materii istot żyjących, w przeciwstawieniu do części nieorganicznych, jakie spotykamy tylko w świecie martwym, t. j. w dziedzinie mineralogii i są zupełnie niezawisłe od procesu życiowego, jak: tłuszcze, ser, białko, cukier i inne, następnie sole rozpuszczalne i kwas cytrynowy, w końcu części mineralne, stałe, po wyparowaniu wody i spalaniu osadu pozostałe, jak: kwas fosforowy, chlor, kwas siarkowy, wapno, potaż, sodę, magnezję, tlenek żelaza, wreszcie trochę gazów.

Aczkolwiek obszerniejsze rozbięcie tak zajmującego przedmiotu jest nader kuszącym, jednakże konieczne w takim razie wciągnięcie chemii w szczupłe ramy niniejszej pogadanki, wstrzymuje mnie od zapuszczania się zbyt dalekiego w ściślejszy rozbiór tego pokarmu. Ograniczymy się przeto do rzeczy najgłówniejszych. Jak już wyżej powiedziano, w mleku, jednym z najgłówniejszych składników jest tłuszcz czyli masło. Jeżeli przypatrzmy się mleku pod mikroskopem, spostrzeżemy, iż w przezroczystym płynie pływa nieskończenie wielka ilość białych kulek, w których znajduje się tłuszcz masłowy, zamknięty cieniutką błoną. Kulki owe sprawiają, że mleko jest nieprzezroczyste i ma kolor biały lub żółtawy, stosownie do indywidualnych właściwości zwierzęcia, pokarmu tegoż, wreszcie pory, w której mleko powstało.

O tłuszczu masłowym czyli maśle, pomówimy obszerniej w następnym artykule, teraz przystąpimy do dalszego badania składników mleka. Niemniej ważnym składnikiem mleka, jak tłuszcz masłowy, jest kazeina, inaczej w codziennym życiu zwany ser, którego mleko posiada średnio $3\frac{1}{5}$ procentu. Kazeina nie jest rozpuszczoną w płynie mlecznym, lecz

tylko napęczniała, o czem łatwo można się przekonać, przepuszczając mleko przez porowatą wypaloną płytę glinianą niepolerowaną. Wówczas zauważymy, że przez płytę przecieka tylko płyn przezroczysty, w którym znajdziemy rozpuszczony cukier i sole, płyta zaś zatrzyma w swych porach tłuszcz i kazeinę, jako cząsteczki tylko mechanicznie w płynie zawieszane. Kazeina, w ten sposób w mleku zawarta, wywiera bardzo wielki wpływ na całą jego istotę i na ciągliwość tegoż, tudzież na zdolność szybkiego wydzielania śmietanki. Ogrzewanie lub gotowanie mleka nie wpływa na kazeinę zupełnie, lecz dodanie do niej rozcieńczonych kwasów lub t. zw. podpuszczek, powoduje strącenie zeń sera.

Trzecim z głównych składników mleka, prócz tłuszczu i sera, jest cukier mleczny. Cukier ten, w stanie czystym, tworzy białą bezkształtną masę, bardzo trudno w wodzie rozpuszczalną, skutkiem czego jest mało słodki, i tylko z trudnością można go rozgryźć. On to skutkiem rozkładu, spowodowanego pewnymi drobnoustrojowymi grzybkami, bywa przyczyną kwaśnienia mleka i śmietanki, a pobudzony do fermentowania specjalnymi drożdżami (też mikroskopijnymi grzybkami), przetwarza mleko w kumys lub kefir.

Porównując, co do składu chemicznego, różne rodzaje mleka, sprawdzamy, że mleko kobiece zawiera

	kazeiny	masła	cukru	sol	wody
	2.29	3.78	6.21	0.31	87.41%
krowie	5.55	4.50	5.50	0.80	83.65%
kozie	4.29	4.78	4.46	0.76	85.71%
owcze	6.52	6.86	4.91	0.89	80.82%
kłacz	1.99	1.21	5.69	0.35	90.78%
oślicy	2.22	1.64	5.99	0.51	89.64%

z czego widzimy, że mleko oślic jest najwięcej do kobiecego zbliżone, i jako takie, najlepiej zastąpić je może.

Mleko, które się wydziela bezpośrednio po wydaniu na świat noworodka, nazywa się colostrum i różni się znacznie od mleka normalnego. Jest ono gęste, często śluzowate, posiada odrębny zapach, ma barwę żółtawą i nieprzyjemny smak słony. U każdego osobnika płci żeńskiej wydzielanie mleka następuje z osobnych organów, posiadających znaczną ilość gruczołów mlecznych, zamkniętych u zwierząt w t. zw. wymionach, u kobiet zaś w sutkach.

Każde mleko, a głównie krowie, podpada różnym przemianom, polegającym na działaniu rozmaitych drobnoustrojów (bakterii). Najważniejszą przemianą jest skwaśnienie. Przemiana słodkiego mleka lub śmietanki na kwaśne, odbywa się w skutek szybkiego rozradzania się w sprzyjających warunkach, odpowiedniego grzybka, który powoduje przetwarzanie się cukru mlecznego w kwas mleczny (najszybciej w temperaturze 35° Celsjusza), równocześnie zaś zcina się ono, ponieważ kazeina podczas kiśnienia wydziela się w formie stałej.

Inne wady mleka, jak np. barwa niebieskawa, czerwona lub żółta, smak gorzki, wreszcie ciągliwość, pochodzą z rodzaju paszy, albo są objawem chorobowym zwierzęcia. Toż samo odnosi się do mleka, posiadającego smak słonawy, zawierającego krew lub piasek (kamienie mleczne).

Konserwowanie mleka polega głównie na tem, aby wyżej wspomniane drobnoustroje, powodujące zmianę chemiczną tegoż, przed ich rozwinięciem się zupełnie zabić, i w ten sposób zmiany tej na pewien czas nie dopuścić. Ku temu służy wysoka albo niska temperatura, w której drobnoustroje zamierają. Skutecznie używa się niskiej temperatury, osiągając ją w odpowiednio zbudowanych przyrządach, zwanych chłodnikami.

Zabijanie drobnoustrojów w mleku za pomocą powtarzającego się ogrzewania tegoż do 70°C ., a następnie do 110°C . pod pewnym ciśnieniem, inaczej tak zwana sterylizacja, wedle wskazówek profesora d-ra Soxhleta w Monachium, osiąga swój cel w zupełności, pozbawia jednak mleko, jak to najnowsze badania wykazały, przymiotu łatwego strawiania go, a co zatem idzie i przyswojenia go sobie przez organizm dziecięcy, wskutek czego mleko w ten sposób sterylizowane przestaje być odpowiednim pokarmem dla dzieci.

Jak to każdemu wiadomo, mleko niezbierane posiada pewną ilość śmietanki, która, jako gatunkowo lżejsza, na powierzchni osiada. Zawartość śmietanki w mleku jest zawisłą głównie od gatunku zwierzęcia, tudzież od jego paszy. Starodawny sposób zbierania śmietanki z wielkiej ilości mleka w dużych gospodarstwach mlecznych, za pomocą zecerpywania łyżkami, należy już przeważnie do historii, miejsce zaś jego zajęło oddzielanie śmietanki od mleka sposobem mechanicznym, za pomocą maszyn, poruszanych siłą pary lub ręcznie, zwanych centryfugami. Sposób ten polega na zastosowaniu siły t. z. odśrodkowej, to jest siły, która się objawia przy każdym ruchu kolistym, ciągłym. Jeślibyśmy np. do dużej miski naleli mleka niezbieranego, postawili ją na stolyczku garncarskim i powoli puścili w ruch kołowy, przyspieszając go stopniowo, to spostrzeżemy, że mleko coraz wyżej w misce będzie występowało, aż w końcu znacznie się wylewało, podczas, gdy śmietanka jako lżejsza będzie się trzymała środka miski. Na tej zasadzie polegają różne systemy centryfug, z których głównych pięć zasługuje na wymienienie, a mianowicie separator de Laval'a, centryfuga Lefeldta i Leutscha, centryfuga balansująca, duńska centryfuga Burmeistera i Waina, wreszcie separator Victoria. Każdy z wyliczonych tu systemów posiada wysokie zalety, tak, że trudno osądzić który z nich jest bezwzględnie najlepszy; w tym razie rozstrzygają najczęściej miejscowe warunki.

Przechowywanie mleka przez dłuższy czas, lub przesyłka tegoż w dalsze strony, natrafia na wielkie trudności, a to z powodu, że jak to już wyżej powiedzieliśmy, mleko przedstawia bardzo podatny grunt dla rozwoju rozlicznych drobnoustrojów. Aby temu zapobiedz, zwłaszcza gdy chodzi o utrzymanie mleka w niezmiennym stanie w strefie podzwrotnikowej, przy zaopatrywaniu okrętów, wojska i szpitali, próbowano różnych sposobów, aż wreszcie udało się Amerykaninowi, Horsfortowi, wynaleźć t. z. mleko zgęszczone (kondensowane) które obecnie jest przedmiotem handlu światowego. Zgęszczanie mleka odbywa się w następujący sposób: W naczyniach hermetycznie zamkniętych, z których wypompowane zostało powietrze, odparowuje

się mleko do tego stopnia, że więcej niż $\frac{2}{3}$ wody zeń się ulatnia, otrzymana zaś pozostała gęsta ciecz, czyli zgęszczone mleko, wlewa się do blaszanych puszek, szczelnie zalutowuje i w nich jeszcze raz ogrzewa do temperatury 100°C. W razie użycia, mięsza się 1 część zgęszczonego mleka z 4-ma częściami wody; otrzymany jednak płyn nie dorównywa w smaku świeżemu mleku.

Mleko podlega rozmaitemu fałszowaniu, głównie zaś rozcieńczaniu wodą, co jednak doświadczona gospośnia natychmiast po barwie lub spływaniu po paznociu rozpoznaje. Inne fałszerstwa, jak domieszki sproszkowanych ciał stałych, np. mielonego gipsu, mąki i t. p., też nie trudno wykryć. Należy nalać mleka do flaszeczki, dobrze ją zakorkować, u szyjki uwiązać kawałek szpagatu i ujawszy za koniec, szybko obracać flaszeczką kilkanaście razy w kółko. Wówczas ciała stałe, jako gatunkowo cięższe, wskutek siły odśrodkowej osadzą się na dnie flaszki, co gołym okiem nie trudno rozpoznać. Domieszkę mąki natychmiast się wykrywa, maczając koniec pręcika szklanego w roztworze jodowym i pręcikiem tym mieszając podejrzane mleko. Wrazie zawartości najmniejszej ilości mąki, mleko natychmiast przybiera barwę niebieskawo-siną.

T. Harajewicz.



Na półkach księgarskich.



— M. M. Kowalewski: „**Rozwój stosunków ekonomicznych w Zachodniej Europie.**“ W 3-ich częściach, str. 330. „Biblioteka samokształcenia.“ Warszawa, 1902.

Dzieło to dowodzi wielkiej erudycji autora i bezwarunkowo ma znaczną wartość naukową, jako treściwa monografia, oparta na sumiennych studyach, zarzucićby jednak można, że niezupełnie właściwie książka ta umieszczona została w „Bibliotece samokształcenia;“ dla przeciętnego samouka przedstawi ona wiele trudności do pokonania, do czego przyczynia się w znacznej mierze styl ciężki, oraz suchy i niezajmujący sposób przedstawienia przedmiotu już z natury rzeczy mało popularnego.

— *Marya Rodziewiczówna*: „**Wrzos.**“ Powieść, str. 392. Warszawa, 1903.

Pod tym tytułem ukazała się świeżo w odbitce książkowej jedna z ostatnich powieści autorki „Dewajtysa.“ Mianem wrzosa darzy Rodziewiczówna główną bohaterkę swoją, Kazię Szpanowską; wychowanka wsi, przeniesiona w zepsutą atmosferę warszawskiego życia, odcina się na tem tle, jak coś zjawiskowego; jest ona jak gdyby prądem ożywczego powietrza i przypomina ztąd drobne, blade-liłowe kwiateczki, które, choć zerwane, długo bardzo zachowują świeżość i balsamiczną woń mehu i lasów, wśród których wzrastają. Doskonała znajomość stosunków warszawskich, głęboko odczute, żywcem z natury wychwycone i po mistrzowski odmalowane typy, cechują „Wrzos;“ który zaliczyć można śmiało do najlepszych powieści Rodziewiczówny.

— *El. (Kazimierz Łaskowski)*: „**Z chłopskiej piersi.**“ Śpiewki. Serya trzecia. Warszawa, 1902, str. 72. Księgarnia A. G. Dubowskiego.

Śliczne piosenki chłopskie popularnego warszawskiego peety, opuściły w tych czasach prasę. Rozmaitość tonów i nastroju jest właściwością Ela; smutek i łza serdeczna, to znów bujna, szczerza wesołość, to nuta lekkiej ironii dźwięczą na przemiany w jego chwytających za serce śpiewkach.

A. J.



Kronika działalności kobiecej.



— Panna W. Weychertówna opracowała dla dzieci i młodzieży „Krótki zarys piśmiennictwa polskiego od czasów najdawniejszych do końca XVIII-go wieku.“

Dzielenko to, wydane starannie, ozdabiają liczne i umiejętnie dobrane obrazki.

— Pierwszą z kobiet fińskich, która, po długich, niezmordowanych staraniach i uzyskaniu specjalnego dla siebie pozwolenia, składała egzamin z medycyny przy Uniwersytecie w Helsingforsie, była Rosina Heikel, urodzona w r. 1842-im. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich pracowała prywatnie nad matematyką, przyrodoznawstwem i anatomią, częścią w Stockholmie, częścią w kraju ojczystym. W r. 1877-ym i 1878-ym, uzbrojona nowem specjalnem pozwoleniem, złożyła Rosina Heikel ponowny państwowy egzamin i na szczególnych prawach uzyskała pozwolenie zajmowania się leczeniem i objęcia stałej posady lekarza. Po kilku latach praktyki w miastach prowincjonalnych, przeniosła się na stały pobyt do Helsingforsu, jako miejski lekarz dla kobiet i dzieci. Posada owa utworzoną została wówczas jedynie dla niej i przywiązaną tylko do jej osoby.

Rosina Heikel jest więc pierwszą w Finlandyi pionierką na polu studyów medycznych, ona wskazała i utorowała drogę innym, lecz upłynęło wiele czasu, zanim znalazły się tak wytrwałe i odważne, któreby po tej drodze kroczyły dalej.

Pierwszemi, które poszły śladami Rosiny Heikel, były: Ina Rosqvist, urodzona w roku 1865-ym i Karolina Eskelin, urodzona w roku 1867-ym. Obie jako studentki złożyły egzaminy w r. 1885-ym i przez lat 11 pracowały wspólnie z kolegami męzkimi. Przeszły następnie wszystkie egzaminy, konieczne dla uzyskania dyplomu lekarza, a Karolina Eskelin po świetnej dyspacji przed komitetem naukowym w Uniwersytecie Helsingforskim, zdobyła tytuł doktora medycyny i chirurgii.

Wiele atoli przeszło czasu, zanim obie dzielne lekarki uzyskały państwowe zezwolenie na zajmowanie się praktyką i objęcie posad asystentów przy powagach medycznych w szpitalach Helsingforskich. Skoro jednak ich starania zostały uwieńczone pożądanymi rezultatami, znalazły się odrazu cztery młode naśladowczynie, które z niemniejszym zapałem poszły śladem swoich poprzedniczek, a mianowicie panny: Alshid Heideman, Naema Ericson, Elin Elmgreen i Ellen Ahlqvist.

O ile udało się owym dwojdom zdolnym i pracowitym poprzedniczkom zdobyć uznanie ze strony kolegów męzkich, dowodzi odezwa, wystosowana do władz odnośnych, przez Radę lekarską, zbierającą się z całej Finlandyi co dwa lata w Helsingforsie. Odezwa owa żądała ustanowienia stałych praw i swobody praktykowania dla kobiet-lekarek.

Po długich i gorących dyskusjach, w których jedni byli za surowem ograniczeniem, inni za zniesieniem wszelkich ograniczeń, przyznana została kobietom zupełna swoboda leczenia, oraz prawo zajmowania prywatnych i rządowych posad, z wyjątkiem posady lekarza wojskowego. Od roku zaś 1891 wstęp do Uniwersytetu w Helsingforsie nie podlega żadnym ograniczeniom.

— Główne siedliska stowarzyszeń kobiet pracujących, w Niemczech znajdują się: w Berlinie, Charlottenburgu, w Crefeld nad Renem, w Lignicy, Hamburgu, Düsseldorfie, Poznaniu, w Stolpie (na Pomorzu), w Remscheid, Hermsdorfie (na Szląsku), w Grudziążu i w Linden pod Hannoverem.

— W Buffallo praktykuje 50 kobiet-lekarek. Niektóre z pośród nich zajmują się też

nauczaniem. Doktor medycyny, miss Traut, wykłada anatomie w wyższej szkole sztuki. Dr. miss Bender została inspektorem szkół ludowych i w najwyższym stopniu zdobyła sobie sympatyę i uznanie. Należy ona przytem gorliwie do ruchu kobiecego. Wiele z tych kobiet lekarzy kończyło studia w Europie.

— Doktor medycyny, panna Rina Mastio, została profesorem anatomii przy uniwersytecie Medyolańskim. Gina Lombroso, córka znakomitego fizjologa, Cezara Lombroso, poświęciła się też medycynie. Przed niedawnym czasem wydała wybornie napisane dzieło p. t.: „Kobieta, jej praca i prawa jej obrony.“

— Na międzynarodowym kongresie związków kobiecych, dążących do uzyskania prawa głosowania, odbytym przed paroma miesiącami w Waszyngtonie, postanowionem zostało zorganizować ruch w tym kierunku we wszystkich kulturalnych państwach. W tym celu utworzony został w Waszyngtonie komitet, któremu powierzone zostały przygotowania do dalszych prac i starań. Prezesem komitetu obrano miss Suran Anthony, przewodniczkę walki o prawa głosu w Ameryce. W roku przysłym ma się odbyć kongres ogólny w Berlinie, zostający w związku z amerykańskim „Council of Women.“

— W Lipsku liczne przedstawicielki różnych kobiecych związków, wybrały z pośród siebie komitet, mający zająć się wzniesieniem i urządzeniem domu imienia Augusty Schmidt, która wielkie zasługi położyła dla ruchu kobiecego. Dom ten ma być środkowym punktem zebrań i kongresów nie tylko związków niemieckich, lecz i międzynarodowych—o tyle, o ile te ostatnie odbywać się będą w Lipsku.

Z. S.



Nasz ul.



Pięknym jest tytuł gospodyni domu, lecz, niestety, coraz rzadziej jest on właściwie piastowanym,— pisze p. J. Wl. w «Kuryerze Warszawskim»,— omawiając w sprawozdaniu z posiedzenia Towarzystwa higienicznego, świeżo wydaną pracę dra Jaworskiego «Wzorowa żona robotnika.»

Nie dosyć jest dla kobiety umieć godnie reprezentować dom na zewnątrz, prowadzić świetnie własny salon, by zasłużyła na miano gospodyni... Należy umieć prócz tego sprzątać, prać, prasować, gotować, znać się na artykułach żywności, i umieć jeszcze wiele innych rzeczy, bez znajomości których nie jest się gospodynią... A na niezajomości tej cierpi dom, cierpi rodzina, wszystko kosztuje drożej i w domu panuje wiecznie nieład; służba, drogo zazwyczaj opłacana, drwi z pań pokryjomy i wyzyskuje je niemilosiernie przy każdej sposobności.

Szkoły nasze uczą paniąki różnych rzeczy, wyrabiają w nich, nieraz z miernym nadzwyczaj rezultatem, przeróżne talenty i talenciki, zaniedbując zupełnie najważniejszą dla nich naukę— naukę gospodarstwa domowego.

A przecież bardzo zaszczytnem stanowiskiem i tytułem, niezbędnem nawet, zarówno dla żony doktora, inżyniera, urzędnika, jak i dla żony rzemieślnika, robotnika, jest stanowisko dobrej gospodyni domu.

Zagranica w tym względzie wyprzedziła nas znacznie... Prawie wszędzie istnieją już szkoły lub kursy specjalne, z mniejszym lub większym zakresem, z towarzyszeniem nieraz innych nauk.

W Fryburgu nawet tworzy się obecnie instytut nauk wyższych, w którym obok wykładów nauk ścisłych, studentki będą mogły słuchać wykładów kucharstwa, kroju i t. p., prowadzić ćwiczenia praktyczne pod kierunkiem wykwalifikowanych profesorów i nauczycielek.

My zaś?... My posiadamy szkoły takie w Królestwie w Chyliczkach i w Ostrowach w Zagłębiu Dąbrowskim, w Galicyi zaś—w Zakopanem. I to wszystko... Szkoły

te, jako obsługujące najbliższą okolice, są zupełnie niewystarczające, należałoby więc zająć się zakładaniem szkół nowych.

Oni naukę gospodarstwa pobierały panienki w domu, praktycznie, — obecnie zaś, gdy warunki ekonomiczne się zmieniły, jest to z wielu względów niemożliwym, i uczuć się daje potrzeba nowych szkół. Zaopiekować się tą sprawą winien wydział wychowawczy Towarzystwa higienicznego, propagując tę myśl jak najszerzej i rozbudzając inicjatywę prywatną w tym kierunku.

«Sprawa to pozornie materyjalna — kończy p. J. Wl., — kto jednak przypomni sobie, ile to «szczęściom domowym» zaszkodziła zła kuchnia, nieporządek i trwonienie przez nieświadomość ciężko zapracowanego grosza, ten wartości rzeczywistej odmówić jej nie może.»

Redakcja «Dobrej Gospodyni» pragnąc pobudzić do szerszej działalności, oraz do zrzeszania się nasze gospodynie wiejskie, zawiązała spółkę udziałową pod firmą «Dobra Gospodyni», z głównym celem zakupu wszelkich produktów i przetworów gospodarstwa kobiecego w kraju i sprzedaży tychże w większych miastach państwa, oraz pośredniczenia w stosunkach z zagranicą. W tym celu w po-

czątku b. m. otwarty został sklep teje spółki, przyczem redakcja licznymi artykułami w piśmie objaśniła jej cel i znaczenie.

Od dnia 1-go października wychodzi codziennie pismo poświęcone specjalnie teatrowi i sztuce, powstałe z tygodnika pod tyt. «Kuryer Teatralny.» W pierwszych numerach, oprócz repertuarów i wzmianek teatralnych, znajdujemy artykuły, dotyczące sztuki aktorskiej, dramatu i muzyki, pióra wybitnych pisarzy i pisarek naszych.

Po półrocznej prawie przerwie ukazał się № 1-szy «Tygodnika Polskiego» w zmienionej szacie, pod nową redakcją. Zadaniem i celem tak odrodzonego «Tygodnika» będzie — według zapowiedzi redakcji, — stać się doradcą i powiernikiem warstw pracujących, rzemieślniczych!

Numer pierwszy oprócz artykułów treści ogólnej, poezyi, nowelli, zawiera też liczne artykuły specjalne.

Redakcja «Melomana» przypomina konkurs muzyczny im. ks. Konstantego Lubomirskiego, na: Rapsodye polską, Suite i Utwory salonowe. Termin nadsyłania rękopisów upływa dnia 15-go listopada r. b. Warunki konkursu podaliśmy w № 29-ym.

Pszczola.

Treść numeru:

Zakłady wychowawcze dla dziewcząt, przez Bożymira. — Kalejdoskop, przez Estewę. — Ostatni jasny dzień... (wiersz), przez Władysława Nawrockiego. — Nasz kwestyonaryusz panieński. — Fryderyk Chopin w przededniu sławy europejskiej, przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Ze sztuki, przez Kacpra Stan. — Nabiał: I. Mleko, przez T. Harajewicza. — Na półkach księgarskich, przez A. J. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul, przez Pszczolę. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz szósty powieści Dymitra Mereżkowskiego p. t. «Zmartwychwstanie Bogów» (Leonard da Vinci), w przekładzie E. Żmijewskiej.

Dodatek: Przegląd mód. — Opis ubiorów i robót (rycyn 25). — Przepisy kuchenne.]

— Do numeru bieżącego dołącza się dla wszystkich prenumeratorów prospekt „Gazety Polskiej.“

Wyprawy od Rb. 100 ze znaczeniem,
Wszelką gotową bieliznę damską i pościelową
POLECA
Specjalny Magazyn

JÓZEFA VETTER

w WARSZAWIE
PLAC TEATRALNY, DOM STĘPKOWSKIEGO

(WIERZBOWA 9).

Cenniki na żądanie bezpłatnie.

K **OD** **U**



BORO **MENTOL**

provizora farm.

J. Kuczuka

Cena kop. 30.

Sposób użycia jest przy każdej tutce.

Sprzedaż w Aptekach i Składach Aptecznych.

Reprezentant

S. M. GOLDBERG
Warszawa, Karmelicka 5.



FOSFATYNA FALIERA

przyjemny pokarm, najodpowiedniejszy dla dzieci od 6 miesięcy do 10 lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rośnięcia. *Ułatwia ząbkowanie i zapewnia prawdziwy rozwój kości.*

Sprzedaż w składach aptecznych i aptekach.

SZKOŁA KROJU i SZYCIA
Emilji Ehrenkreutz

w Warszawie Zgoda 3, Chmielna 24.

Krój Paryzki. System Worth'a. Patenty

cechowe. Pensjonat.

Vin Saint-Raphaël

rekomenduje się, jako toniczne, wzmacniające i pomagające trawieniu.

NAJLEPSZY PRZYJACIEL ŻOŁĄDKA.

Broszura d-ra de Barre

o winie St. Raphaël, jako o pożywnym, wzmacniającym środku, wysłała się na żądanie.



Smak jego jest wysmieniony.

Compagnie du Vin
Saint Raphaël

VALENCE, DROME,
FRANCE.

Ostrzega się przeciw podrabianiu.

Zalatywam pogrzeby od rbl. 25

do najwykwintniejszych. Trumny metalowe od rbl. 30, drewniane od rbl. 12 i dębowe. Wieńce metalowe od kop. 75. Makarta zasuszone od k. 60 Szarfy. Pochodnie. Paki smolowane do przewoza ciał.

Krepy czysto jedwabne (angielskie) w wielkim wyborze od 70 kop. za łokieć. Odświeżam krepe.

100 kapeluszy z woalami od rbl. 4. Suknie od rbl. 15. Spódnice z krepa od rbl. 7 kop. 50. Ubiory pośmiertne.

Z. FIJAŁKOWSKI

Senatorska 26,

(wprost kościoła św. Antoniego).

Mieszkam w tymże domu.

Powwyższy towar wysyłam za zaliczeniem.

Egzystujący od lat 15-tu

MAGAZYN OBUWIA MĘZKIEGO

J. KIELMANA

Chmielna № 3 w Warszawie.

Zawiadamia Sz. klientelę swoją, iż z dniem 1-go października r. b. otwiera drugi specjalny **Magazyn Obuwia damskiego i dzieciennego** przy ul. **Nowy-Swiat Nr. 19** w domu J.W-go Hr. Kosakowskiego, z czem się Sz. Publiczności poleca

J. Kielman.

PRACOWNIA
Okryć Damskich
i Kostymów Angielskich
St. Kleniewskiego
Krakowskie-Przedmieście No 14,
vis a vis kościoła Świątokrzyżowego.

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

poleca

OSTATNIE NOWOŚCI

Pan Filip z Konopi Kaz. Glińskiego 1.80
W tysiąc lat Artura Gruszeckiego 1.50
Wrażenia Kazimierza Tetmajera 1.—
Sprawa Dołęgi Józefa Weyssenhoffa 1.80
Przed światem. Pewnego dnia. Sprawiedliwie. Wł. Reymonta 1.20
Z minionych dni G. Daniłowskiego 1.80
Pociągnięcia pedzlem Jana Augustynowicza 1.80
Śladem tęsknoty Tadeusza Konczyńskiego 1.—
W szponach Wandy Grot-Bęczkowskiej 1.—
Anioł śmierci Kazimierza Tetmajera 1.80
Fiat Lux! Adama Krechowickiego 1.50
Panna Mery Kazimierza Tetmajera 1.80
Pas rycerski Stanisława Nałęcz-Ostrowskiego 2.—
W Jego ślady Karola Sheldona 1.40
Legenda. Kto Ona? Euthanasia Sewera 1.20
Zwycięzi Artura Gruszeckiego 1.50
Ludzie bezdomni Stef. Żeromskiego 2.—
Chwile Elży Orzeszkowej 1.50
Brzask Wacława Sieroszewskiego 1.40
Juljan Apostata D. Mereżkowskiego 1.—
Biała Wiktora Gomulickiego 1.—
Melancholia i Otehań Kazimierza Tetmajera po 1.—
Grzechy dzieciństwa Bolesł. Prusa 1.—
Nowy obywatel Artura Gruszeckiego 1.—
Latorośle Wacława Sieroszewskiego 1.20
Miráže Mariona 1.50
Promień Stefana Żeromskiego 1.50
Szkie. Wspomnienia. Obrazki. Władysława Belzy 1.—
Pembroke Mary E. Wilkins —.60

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Ant. STRÓMIŁO
25. BRACKA 25.

Poleca całkowiłe urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. — Stoiarnia własna. — Ceny niskie.



Towarzystwo Udoskonalonej
PERFUMERYI

A. RALLE i S-ka

DOSTAWCY DWORU

w MOSKWIE.

Oddział Warszawski

ul. WIERZBOWA 7. TELEFON 1129.

Polecają Ostatnie nowości, Perfum, Mydeł i Wody Kolońskiej.

Wrzos

Trèfle

Champacca

Violette des Bois

Chrysanthème.

Dostać można w Perfumeryach i Składach aptecznych.

Pierwszorzędne biuro nauczycielskie

GOLCZEWSKIEJ

Święto-Krzyżka 44.

Poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

ZOSTAŁA OTWORZONA

Pracownia Bielizny i Haftu

H. ZBRANIECKIEJ

KRÓLEWSKA Nr. 17 (front).

Modele Paryzkie. Wykończenie wykwinne. Ceny przystępne.

GRONKIEWICZ

Królewska 5.

Telefon 1758—w Warszawie.

Poleca osoby pracujące w dziale **Nauki Wychowania, Handlu, Przemysłu, Rolnictwa i Różne**, tylko z dobrymi poufnie sprawdzonymi referencyami.

EDELWEISS DE LA TZARINE

Essencya, Mydło, Puder ryżowy, Woda i t. p. i t. p.
Victor Vaissier, Perfumerya w Paryżu, wynalazca mydła Congo Imperial.

T. Z. OSIŃSKI

WARSZAWA

142. MARSZAŁKOWSKA 142.

Porcelana. * Fajanse.

Kryształy. * * Majolika.

Wyroby Terrakotowe.

Wybór wielki. **====** Ceny niskie.

WŁASNA MALARNIA.

NAUKA KROJU W DWIE GODZINY!!

Nagrodzony wielkim medalem złotym na konkursie wszechświatowym w Paryżu 1900 r. i uznany przez profesorów kroju paryskiej akademii za najłatwiejszy i najdokładniejszy system kroju ubrań damskich i dziecięcych.

PATRON „EXPRESS”

Mechaniczny przyrząd opatentowany w Europie i Ameryce
pomocy nauczyciela kroju K. Lewańskiego.

Patron „Express” zrobiony z trwałego kartonu daje się zastosować do każdej figury proporcjonalnej i nieproporcjonalnej.

Ułożony Patron „Express” wprost na materiale, kraje się podług niego. Przy użyciu Patronu „Express” nauka kroju i rysowanie form są zbyt łatwe. Dla obeznania się z Patronem „Express” wystarczy jednorazowe objaśnienie lub przeczytanie opisu.

Nastawienie Patronu „Express” podług zdjętej miary trwa nie dłużej jak dwie minuty. Patron „Express” służy zarówno dla osób, które ani krajać, ani szyć nie umieją, jak dla znających krój, dając możliwość pierwszemu szybkiej nauki, drugiemu pośpiech i wykwalifikowanie w robocie. Patron „Express” już jest rozpowszechniony we Francji, Belgii, Anglii, Szkocji i Ameryce. W Warszawie Patron „Express” jest używany w wielu pierwszorzędnych magazynach.

Cena „Patronu Express” z opisem rb. 5, z przesyłką pocztową rb. 6. Wszelkich informacji udziela się bezpłatnie. Główny skład w magazynie okryć damskich „J. SKWARA” Niecała № 14 oraz Mazowiecka № 1.

Tamże można nabywać patrony bibulkowe paryskie co tydzień świeże i fasony muślinowe wszelkiego rodzaju wykonywane przez specjalistkę sprowadzoną w tym celu z zagranicy.

Na poczekaniu kroi się formy papierowe lub muślinowe na wszelkie ubranie damskie podług zdjętej miary systemem „moulage”. Sposób zdejmowania miary wysyła się pocztą bezpłatnie na życzenie.

Wielki wybór!

MEBLE

„Maison Nipon”

9. SZPITALNA 9.

BAMBUSOWE.

Gony znacznie niższe!

Baczość!

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa

NAJNOWSZA KUCHNIA

WYTWORNA i GOSPODARSKA

zawiera 1032 przepisów gospodarskich z uwzględnieniem kuchni jarskiej, z ilustracjami, wzory nakrycia stołu, sposób ogólny podawania przekąsek i potraw, 70 wzorów „Menu” skromnych i wystawnych śniadań, obiadów i kolacji na każdą porę roku i t. p., ułożyła

MARTA NORKOWSKA.

W ozdobnej okładce, stron 420 większego formatu. Cena rb. 1.80 kop. w kart. rb. 2. Przesyłka pocztowa kop. 30. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Francuzka Szkoła Kroju i Szycia

M-me MERCÉRE

Nowy-Świat 42.

Krój paryski. Kursy wyższe i niższe. Patenty z cechu. Pensjonat, dla pracujących ceny **zniżone**.

PRACOWNIA KÓLDER

MARYI POMORSKIEJ

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.
Poleca koldry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.
Ceny przystępne.

A. LITWAJTYŚ

Warszawa, Chmielna Nr. 18, I-e piętro.

Magazyn okryć damskich

przeniesiony został z d. 1-go Lipca r. b. na **Chmielną 18**, i znacznie powiększony. Specjalność okryć na futrach i kostiumów angielskich, przyjmuje obstalunki z własnych i powierzonych materiałów.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 55 W WARSZAWIE,

Poleca w wielkim wyborze:

PŁÓTNA, STOŁOWĄ BIELIZNĘ, RĘCZNIKI i t. d.
letniego bielenia.

CHUSTKI DO NOSA BIAŁE I KOLOROWE.

MATERJAŁY PUCHOWE. * FLANELE. * BARCHANY.
WYROBY POŃCZOSZNICZE.

BIELIZNĘ DAMSKĄ i MĘSKĄ, WYPRAWY GOTOWE.

FIRANKI OD RB. 2.75 ZA OKNO. DYWANY. PORTJERY.

SZANOWNE PANIE.

Oszczędność to cnota społeczna!
Uwagze Ich polecamy znany w Warszawie Zakład Re-paracyi, czyszczenia, prania chemicznie, przerabiania według mody garderoby Męskiej i Damskiej. Marszałkowska 143, w podwórzu. **JAN.**

WATA

KOLOROWA
WIELBŁĄDZIA
OWCZA
ZWYCZAJNA
nadto
WAŁKI DOOKIEN
najtaniej w pracowni
KAROLA SZULCA
ELEKTORALNA RÓG ORLEJ.

W. Golińska

Gmach Teatralny
poleca
Nowości w zakresie galanterii
**BRONZY, ALBUMY,
NESESERY,
WACHLARZE, RĘKAWICZKI,
RAMKI.**

Antigorsset „Platinum”

Wyłączna sprzedaż na całą Rosję i Królestwo Polskie w magazynie

Gorssetów nieszkodliwych „HIGIENA”

w Warszawie, ul. SENATORSKA 32, I-e piętro.

Szczegóły w № 38 tegoż pisma

„OGNISKO”

PISMO MIESIĘCZNE,
poświęcone nauce, sprawom społecznym, literaturze, sztuce. Ilustrowane.
Wychodzić będzie od Października pod ogólną redakcją
LUDWIKA STRASZEWICZA.

W każdym numerze znajdują czytelnicy kilka artykułów naukowych, oryginalnych i tłumaczonych ze wszystkich głównych języków europejskich i ze wszystkich gałęzi wiedzy. Kierunek nad całym działem naukowym objął profesor Wszechnicy Jagiellońskiej p. **STANISŁAW ESTREICHER.**

Dalsza treść „Ogniska” składać się będzie z **poezji, z powieści, romansów i nowel**, oryginalnych i tłumaczonych (co najmniej trzy w jednym numerze), **z opowiadań o ciekawych wypadkach historycznych, z opisów mało znanych a osobliwych krajów i ludów, ich bytu, obyczajów i zwyczajów, z opowiadań o przygodach podróżników i t. d.** Co numer „Ognisko” zamieszczać ma artykuły „ze świata kobiecego”, (mody oraz wskazówki ze wszelkich działów domowej działalności matek i gospodyń). W każdym zeszyte będzie „**Kronika bieżąca**”, tudzież będzie kilkadziesiąt ilustracji, społecznych, literackich i wszelkich innych. Zeszyt kończą zabawy i zagadnienia do nagrody.

Cokolwiek znajdziemy interesującego w pismach czy to w polskich (tutejszych i zakordowanych), czy rosyjskich lub innych, podamy w „Ognisku” bądź w streszczeniu, bądź w przedruku czy przekładzie. Każdy zeszyt zdobędzie kilkadziesiąt ilustracji.

Pragnieniem naszym jest, aby treść „Ogniska” od pierwszej do ostatniej strony składała się z prac interesujących i pouczających, aby była dostępna a zajmująca **dla wszystkich**, aby czytelnik każdy znalazł w „Ognisku” przyjemną rozrywkę duchową, a jednocześnie aby z bogactwem umysł swój zarówno wiadomościami, jak rozszerzeniem i doskonaleniem pojęć o ludziach i rzeczach, o zjawiskach przyrody i o biegu życia społecznego.

Do współpracownictwa usilujemy wciągnąć wszystkich wybitnych uczonych i popularyzatorów polskich; wielu już przyrzekło nam pomoc swoją; prace niektórych znajdują czytelnicy zaraz w pierwszym numerze.

Zeszyty wychodzić będą w środku każdego miesiąca, w objętości **13-15 arkuszy** dużej ósemki, **zsyte i obcięte**.

Prenumerata „Ogniska” wynosi zarówno w Warszawie, jak po za Warszawą rocznie (za 12 zeszytów) **rubli cztery**, półrocznie (za 6 zeszytów) **rubli dwa**, kwartalnie (za 3 zeszyty) **rubli jeden**. Cena jednego zeszytu kop. 35—(Osoby, żądające wysłania **zeszytu pojedynczego** pocztą, ponoszą koszt przesyłki, t. j. dopłacają kop. 10).

Kto by pragnął zapoznać się z wydawnictwem „Ogniska”, temu zeszyt pierwszy, październikowy, damy w Warszawie zupełnie bezpłatnie, a po za Warszawą za zwrotnym kosztem przesyłki (10 kopiejek).

Adres Redakcji i Administracji: róg **Ś-to Krzyskiej (Nr. 34) Jasnej (Nr. 2)**.

Wydawca: **Piotr Laskauer**. — Redaktor: **Marian Gawalewicz**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Сентября 1902 г.

Druk. Piotra Laskauera i S-ki, Ś-to Krzyska 11.